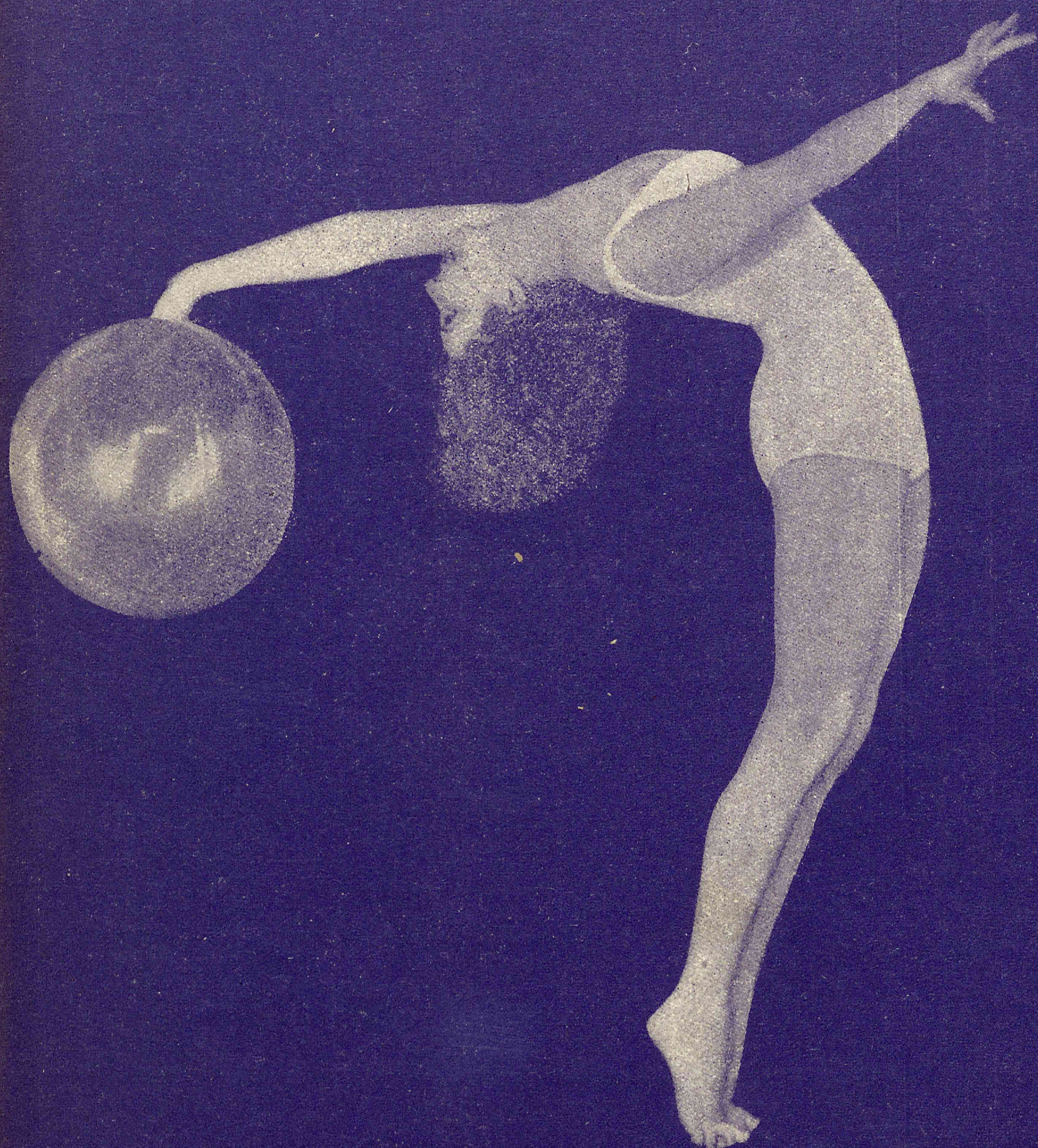
ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 14

7 KWIETNIA 1934



W numerze:

TAŃCZĄCA BAŃKA MYDLANA

„Zorganizowanym i przygotowanym do obrony przeciwlotniczo-gazowej nic grozić nie będzie" – Zapisujcie się na członków L.O.P.P.!



ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM LEONA CHRZANOWSKIEGO
ROK XXIX • NR. 14 • DNIA 7-go KWIETNIA 1934 ROKU
(ZAŁOŻYCIEL STEFAN KRZYWOSZEWSKI)





OD REDAKCJI

Wobec żywego zainteresowania czytelników premjami książkowemi, ogłoszonemi w poprzednim numerze „Świata", ulegamy wyrażanemu przez nich życzeniu i przedłużamy termin zgłaszania prenumeraty łącznie z premjami do dnia 15 kwietnia r. b.

CENNE PREMJA BEZPŁATNE

DLA PRENUMERATORÓW »ŚWIATA«

Redakcja „Świata" nabyła od Inst. Wyd. „Bibljoteka Polska" szereg cennych dzieł, które po zgrupowaniu w określone komplety stanowić będą premja dla prenumeratorów „Świata".

Komplety te dzielą się na:

I. — Komplety wartości 110 złotych,
II. — Komplety wartości 50 złotych,
III. — Komplety wartości 30 złotych,
IV. — Komplety wartości 20 złotych,
V. — Utwory wartości 5 złotych.

Komplety te otrzymają

BEZPŁATNIE

prenumeratorzy nasi, którzy do 15 kwietnia r. b. wypełnią **warunki wyszczególnione na stronie 15-ej dzisiejszego numeru**

L. WASILEWSKI

Jak się ustalało granicę polsko-sowiecką



Pociąg wykolejony przez powstańców białoruskich

W trakcie załatwiania wszystkich tych spraw, Komisja Główna była w ustawicznym ruchu, odwiedzając siedliska poszczególnych podkomisyj i udając się na teren kwestjonowanych miejscowości po obydwóch stronach ustalanej granicy. Nie brakowało owym wycieczkom epizodów dramatycznych.

Oto np. w jesieni 1921 r. Delegacja Polska dowiedziała się, że ze strony antybolszewickich żywiołów rosyjskich przygotowywany jest zamach na Delegację Sowiecką. Wówczas na terenach powiatów rzeczyckiego, bobrujskiego i mozyrskiego na Białej Rusi sowieckiej trwała dość silna ruchawka antybolszewicka. Wzdłuż ustalanej przez nas na Polesiu linji granicznej koncentrowały się liczne oddziały powstańcze, które niejednokrotnie, naciskane przez wojsko sowieckie, przechodziły do Polski, gdzie je natychmiast rozbrajano. Wobec zupełnie swoistych cech zalesionego i błotnistego terenu Polesia i północnego Wołynia, pilnowanie granicy było niesłychanie trudne. Otóż jeden z takich oddziałków powstańczych, przedostawszy się na teren Polski nad Moroczą, postanowił wyrżnąć Delegację Sowiecką. Na szczęście dowiedzieliśmy się o tem zawczasu i szwadron jazdy, przydzielony do podkomisji granicznej poleskiej (przewodniczącym jej był późniejszy wojewoda poleski J. Krahelski), wyszedłszy na spotkanie oddziałowi partyzanckiemu, otoczył go i rozbroił, zdobywając 30 koni.

Innym znów razem Komisja Główna, wracając z Połocka, omało nie stała się ofiarą zbrojnego napadu oddziału powstańców białoruskich. Ci ostatni, wypadłszy z gęstego lasu, rosnącego po obu stronach toru kolejowego, zatrzymali pociąg sowiecki, wysadzili dynamitem lokomotywę i, wpadłszy do wagonów, powyciągali z nich funkcjonarjuszy sowieckich, których następnie rozstrzelano na miejscu. Pociąg, który wiózł Komisję Graniczną, podążał właśnie za tamtym pociągiem, ale szczęśliwie został zatrzymany w Połocku. Przejeżdżając w kilka godzin później przez miejsce, na którem pociąg poprzedni uległ katastrofie, oglądaliśmy leżącą obok toru jego wykolejoną lokomotywę, a jeden z naszych ordynansów zdążył ją nawet sfotografować.

O ile na naszym terenie pracowaliśmy w najzupełniejszem bezpieczeństwie, o tyle teren sowiecki zawsze groził jakiemiś niespodziankami. Pamiętam, jak podjeżdżając autami pod Kamieniec Podolski — nocą, przez las, zostaliśmy zaalarmowani przez Delegację Sowiecką, która prosiła nas, abyśmy mieli broń w pogotowiu, gdyż w lesie tym jest „niespokojnie". Na szczęście, obawy jej były nieuzasadnione i dotarliśmy do Kamieńca bez żadnych przygód. Innym znów razem — i to już na polskim terenie, — nad Zbruczem, dostaliśmy się w sam środek obławy, ścigającej bandę dywersyjną, która przedostała się przez granicę z Ukrainy sowieckiej.



Na Dźwinie pod Dzisną

IV.

Tak wśród nawału wszelkiego rodzaju wrażeń pracowaliśmy przez półtora roku nad ustaleniem, zasłupieniem i pomierzeniem granicy wschodniej. Objeżdżaliśmy ją środkami lokomocji wszelkiego rodzaju: własnemi pociągami (polskiemi po polskiej stronie, sowieckiemi po sowieckiej), w których mieszkaliśmy, autami, wozami, zaprzęgniętemi w konie i woły. Do niektórych, najbardziej niedostępnych, odcinków trzeba było docierać na piechotę, niekiedy w łapciach, brodząc po bagnach i trzęsawiskach.

Z Mińska w drugiej połowie pracy siedziba Komisji Głównej przeniosła się do Równego, gdzie już obie Delegacje korzystały z europejskich (w porównaniu z Mińskiem) warunków. Jednocześnie stosunki nadgraniczne stabilizowały się stopniowo i niespodzianek było coraz mniej.

Podczas jednego z naszych postojów w Połocku, gdzie mieściła się jedna z podkomisyj, kierowana przez późniejszego ministra Boernera, do któregoś z członków delegacji polskiej zwrócił się pewien szofer sowiecki z bardzo oryginalną propozycją. Oświadczył mianowicie, że zabije p. Pestkowskiego, o ile będzie mógł potem uciec z naszą pomocą do Polski. Potraktowaliśmy tę propozycję jako przypuszczalną prowokację i przeszliśmy nad nią do porządku dziennego. Ale oto nieco później, kiedy Komisja Główna znalazła się znowu na terytorjum Polski — w Rakowie, gdzie mieliśmy załatwić pewne kwestje sporne, ów szofer znalazł się w ostrym zatargu ze swoimi przełożonymi, skutkiem czego Delegacja Sowiecka prosiła nas, abyśmy go uwięzili w jednym z naszych lokali aż do powrotu Komisji do Mińska. Odmówiliśmy jej tego ze względów zasadniczych.

Ku wielkiemu naszemu zdumieniu dowiedzieliśmy się nazajutrz, że ów szofer uciekł w nocy jednem z aut sowieckich, poprzednio poprzecinawszy nożem gumy wszystkich innych aut Delegacji Sowieckiej. Wszczęte natychmiast śledztwo stwierdziło, że jeden z na-

szych szoferów, wzruszony skargami szofera sowieckiego na brutalne traktowanie go przez p. Pestkowskiego, ułatwił koledze po fachu ucieczkę, towarzysząc mu poza linję posterunków policyjnych. Zabrane auto sowieckie niebawem znaleziono — pogruchotane i częściowo spalone — zaś ów szofer-uciekinier znikł bez śladu. P. Pestkowski, zupełnie niesłusznie podejrzewając o udział w tej aferze jednego z funkcjonarjuszy Delegacji Polskiej, postanowił przerwać niezwłocznie prace graniczne i poprosił o użyczenie Delegacji Sowieckiej naszych aut na powrót do Mińska.

Sytuacja zaogniła się. Zakomunikowałem p. Pestkowskiemu przebieg przeprowadzonego u nas śledztwa, przyczem nie pominąłem i zeznań pociągniętego do surowej odpowiedzialności naszego szofera, który się tłumaczył, że go zbiegły szofer najbardziej wzruszył skargą na spoliczkowanie go przez p. Pestkowskiego. Ten ostatni szczegół wywołał wielkie wzburzenie p. Pestkowskiego, który zwrócił się do mnie z „listem prywatnym" w języku polskim, zaadresowanym „osobiście do rąk własnych". Sprawa konsekwencyj ucieczki szofera została oficjalnie załatwiona w drodze dyplomatycznej przez w tym właśnie czasie jadącego do Moskwy posła T. Filipowicza, który uzyskał od p. Cziczerina rozkaz natychmiastowego wznowienia prac granicznych. Natomiast ów „list prywatny" p. Pestkowskiego wraz z moją „prywatną" nań odpowiedzią pozostał w moich zbiorach cenną pamiątką, dobrze charakteryzującą ówczesne stosunki. List p. Pestkowskiego zawierał bowiem następujący ustęp: „Uważam się za dobrego komunistę i jako taki nie zawaham się wyciąć w pień całą polską delegację, jeżeli taki będzie rozkaz partji i tego będzie wymagało dobro komunizmu". Ja zaś kończyłem moją odpowiedź słowami: „Ubolewam najmocniej, że muszę pisać prywatnie na takie tematy, ale jest to już wina stosunków, które Panu każą oświadczać, że na rozkaz partji komunistycznej nie zawahałby się wyciąć w pień całą Delegację Polską, a mnie zapewnić Pana, że, gdyby to odemnie zależało, z zupełnie zimną krwią kazałbym Pana rozstrzelać jako wroga tego, co dla mnie jest najdroższe. Łączę wyrazy prawdziwego szacunku — Leon Wasilewski".

W takich warunkach posuwała się nie bez trudności praca ustalania granicy wraz z towarzyszącemi tej pracy czynnościami granicznemi. Największą naszą troską była sprawa przyłączenia do Polski tych licznych osiedli polskich, które leżały po stronie sowieckiej, bezpośrednio poza traktatową linją graniczną. Zasadniczo Delegacja Sowiecka zgodziła się na to wobec zupełnie niedwuznacznej i nieraz gwałtownie wyrażanej woli ich ludności, ale żądała ekwiwalentów na zamianę. Tymczasem — o ile ludność z poza linji granicznej (bez różnicy narodowości) zgłaszała się gromadnie z petycjami o przyłączenie do Polski, po naszej stronie znalazła się tylko jedna wieś (prawosławna, białoruska) Lipienie, niedaleko Nieświeża, która objawiła chęć przyłączenia się do Białej Rusi sowieckiej, spekulując (zupełnie bezpodstawnie zresztą) na to, że jednocześnie oddamy i folwark Lipienie, który w ten sposób dostanie się w ręce chłopów. Trzeba więc było z wielkim trudem wyszukiwać wzdłuż całej granicy ekwiwalentów w postaci obszarów leśnych i wogóle niezamieszkanych. Wreszcie zdołaliśmy tego szczęśliwie dokonać. To też radość i entuzjazm, z jakim przyjmowała i podejmowała nas ludność tych wsi odzyskanych, zwłaszcza w Sarneńskiem, były dla nas wzruszającą nagrodą za poniesione w jej interesach trudy.

Z czasu objazdów granicy pod koniec naszych prac przypomina mi się zabawny a bardzo charakterystyczny epizod. Na jednej ze stacyj kolejowych odcinka mińsko-nieświeskiego zjawiła się liczna deputacja, domagająca się, abym ją przyjął jako przewodniczący Delegacji Polskiej. Wyszedłem z wagonu i ujrzałem przed sobą grupę kilkunastu chłopów, zpośród których wystąpił starszy człowiek i zbliżył się, nisko kłaniając się.

— O co chodzi? — spytałem.

— A to my, panie ministrzu, chcieliby zapytać, ci ta granica to już będzie nazawsze, ci też może jaka zmiana nastąpi?

— Dlaczego ma być zmiana? Przecież to jest granica, ustalona w Rydze przez traktat pokojowy. Zmienić jej nie można.

— Bo to my panie ministrzu, teraz jesteśmy prawosławni, niby ruskiej wiary... Ale, kiedy tu już ma być Polszcza, to myby chcieli przejść na polską wiarę... Toż i nasze dziadule byli katoliki...



Deputacja chłopska przed przew. Del. polskiej, min. L. Wasilewskim

— Tak, tak — poczęła przytwierdzać reszta chłopów.

Zdziwiło nas takie postawienie kwestji, ale nijako mi też było tłomaczyć chłopom, że zasada *cujus regio eius religio* nie ma dziś zastosowania. Rzuciłem tedy wymijająco:

— Jak uważacie, jak uważacie... A co do granic, to zmian już nie będzie...

— Dziękujemy panom za tę wiadomość — rzekł pierwszy mówca, ukłonił się nisko i cofnął się ku swoim. Reszta chłopów otoczyła go kołem, słuchając, jak im powtarzał to zapewnienie. Po chwili wszyscy oddalili się, powkładawszy na głowę czapki.

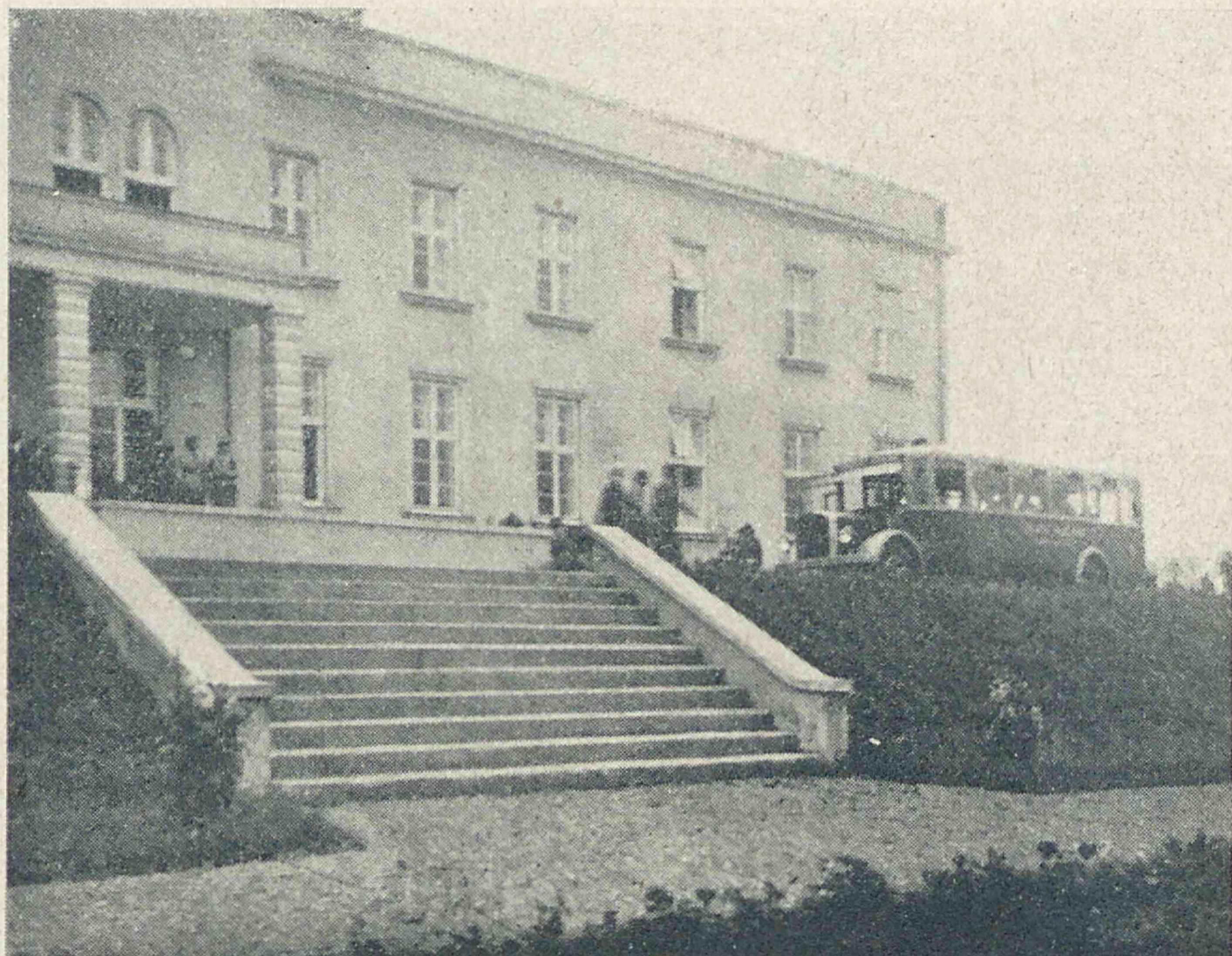
Nareszcie w ostatniej ćwierci 1922 r. rozpoczęliśmy kolejno przekazywać miejscowym władzom administracyjnym i granicznym poszczególne odcinki ostatecznie już ustalonej i zasłupionej granicy państwowej. Polityczna część prac granicznych dobiegała w ten sposób końca. Nieco później w Moskwie nastąpiło podpisanie protokółów Komisji Granicznej oraz tak zwanego operatu granicznego, który niebawem stał się podstawą dokumentalną uznania naszych granic wschodnich przez radę ambasadorów.

Komisja Główna pod Połockiem



STANISŁAWA KUSZELEWSKA

Dom bez problematów



Bucze siedziba harcerek

Ileż pięknych miejsc na ziemi zatruły człowiekowi dzisiejszemu — problematy! Nam zatruły między innemi polską „wieś spokojną". Mało który z pośród białych pałaców, albo uroczych dworków na kolumienkach, owitych winoroślą — stoi naprawdę. Większość, niestety, stoi już tylko napozór. Bo do prawdziwego, trwałego, mocnego stania konieczne są nietylko dobre fundamenty i równowaga budżetowa. Równie potrzebna (choćby się o tem nie wiedziało) jest równowaga duchowa. Nieopłacone weksle tak samo przeżerają podwaliny domu, jak nierozwiązane zagadnienia. „Czy mam prawo stać tak, jak stoję? Czy jestem komukolwiek, prócz samego siebie, potrzebny? Czy nie rosnę na niczyjej krzywdzie?" — myśli niejeden biały, piękny pałac. „Wiem, że mam słuszność istnieć. Wiem, że powinienem tu być" — myśli inny. „Ale czy nikt nie wątpi w rację mego istnienia? Czy nie zwali mnie jakaś ręka, bezprawna lub uprawniona, jeśli nie dziś, to za lat dziesięć... pięćdziesiąt?" „Tonę — myśli dworek pod lipami. Jestem jak wyspa dawnego świata. Czy oprę się morzu nowego?"

Nietylko więc kryzys, ale i zmiany światopoglądu przeszkadzają żyć polskiej, szlacheckiej wsi. I czy będą to poglądy własne, czy cudze, słuszne, czy urojone, szczere, czy przybrane, ich dusząca atmosfera — atmosfera wątpliwości i niepokoju — nasyca piękne zakątki mahoniowego salonu, nawet jeśli wszystkie weksle są popłacone i żadna pożyczka nie grozi spłatami. Czuje się mgliście, że należałoby coś zrozumieć, coś ustalić, może nawet coś przedsięwziąć... Ale co? Ale jak? Niewiadomo.

Jeśli więc spotkamy na wsi dom bez problematów, już jakgdyby urodzony bez grzechu pierworodnego czyjejkolwiek — istotnej lub pozornej — krzywdy i czyjegokolwiek uprzywilejowania, dom stworzony dla wszystkich, nie dla kogoś — to atmosfera tego domu, niezmącona i przejrzysta, nasyci mieszkańców i gości spokojnym odpoczynkiem, nieomal nigdzie w tej chwili na świecie — dla ludzi wrażliwych — nieosiągalnym. Wyspa pewności na oceanie przemian.

* * *

Takim domem jest Stanica Harcerska na Buczu, mieszcząca harcerską szkołę instruktorską. Piękny biały pałac stoi w wieńcu jesionów na słonecznem wzgórzu nad rozległą doliną Brennicy, o 7 kilometrów od Skoczowa. Na bliskim widnokręgu południowo-zachodnim czernieje lesiste pasmo Beskidu śląskiego, zamknięte łagodną, puszystą sylwetą Czantorji, podobnej do leżącego niedźwiedzia-olbrzyma. Stanica króluje na swoich dziewiętnastu hektarach ziemi, jak udzielny władca. Skromne te hektary wycięto z dóbr dawnej Komory Cieszyńskiej. Zbudowanie Domu Harcerstwa zainicjowali harcerze śląscy, pomógł w powstaniu dzieła wojewoda Grażyński — Druh Przewodniczący — najenergiczniejszy chyba w całej Polsce gospodarz i organizator. Dawną stajnię książęcą przebudowano na wspaniały gmach nowoczesny, o prostych linjach elewacji i stylowem pięknie wnętrza. Każdą salę fundowała harcerstwu inna gałąź przemysłu śląskiego. Fundowała zacnie i nieskąpo. Sala obrad rzeźbiona jest w emblematy harcerskie w złotawem drzewie polerowanej sosny. Ściany, stoły, szafy, ławki i fotele, wszystko barwy miodu. Cztery wielkie okna patrzą na południe, na łańcuch Beskidów. Kiedy nad górami, nad Błatnią i Równicą, zapada wczesny zmierzch po słonecznym dniu zimowym, to w ramach okien tej ciepłej, złocistej sali stają przejrzyste wycinki szafirowego nieba, jakby jaskrawe pejzaże, zawieszone na złotawych ścianach. Ogromna jadalnia, pięknie wykonana w czarnym dębie, łatwo mieści 80 osób; główną ścianę zajmuje ogromny kominek, zastępujący w zimie leśne ognisko, nieodzowny i ulubiony motyw harcerskiego życia. Wspaniały hall, rozkwitający w dwa skrzydła marmurowych schodów, ozdobiony polskiemi matami i polską ceramiką, służy też jako sala widowiskowa. Sypialnie na 60 osób, wychodzące na tarasy, lakierowane są na smaczny kolor śmietanki. Szczególnie miły i niespodziewany jest prywatny salonik komendantki Bu-

Bucze — sala jadalnia



cza: jedna ściana — kaktusy; druga — książki. Pięć pokoików instruktorskich posiada pełny komfort i nieskazitelną czystość. Nowoczesna kuchnia, lśniąca kaflami i metalem, szerokie korytarze, doskonała łazienka, wygodne składy, sklep, szatnia i kancelarja dopełniają wrażenia europejskości tego wspaniałego pałacu, który powstał z drobnych składek, dorywczych zapomóg, hojności przyjaciół — i upartych, nieustępliwych, zawziętych marzeń młodzieży. (Zabawne pomyśleć, że na międzynarodowy Zjazd harcerstwa żeńskiego w Buczu (1932) Angielki przybyły odważnie, uzbrojone w rewolwery. Myślały, że będą mieszkać w szałasie, pośród Dzikich Pól. Z jakimże zawstydzonym uśmiechem chowały coprędzej ogromne Colty na dno walizek, znalazłszy się w tym najwytworniejszym z polskich hoteli!).

Ład gospodarki buczańskiej zadaje kłam wszystkiemu, co się mówi (i niestety myśli) o polskiem niechlujstwie. Lśniąca czystość, pedantyczna punktualność, doskonała choć skromna kuchnia, najwybredniejsze wygody. Rządy ogromnego domu i malutkiego folwarczku sprawuje komendantka Bucza, Druhna Łapińska, przy pomocy zastępu „Buczanek", ośmiu młodych, miłych, nieśmiałych, pełnych wdzięku panienek. Rachunkowość prowadzi Druhna Ewa Grodecka. Od pedagoga do ekonoma, poprzez funkcje budowniczego, rolnika, buchaltera i kucharza — wszystko łączyć w sobie muszą dzielne Buczanki. Stałej służby domowej Bucze nie posiada, prócz dwóch wiejskich pomocnic, przychodzących do najcięższej roboty kuchennej. Ogród zakłada i prowadzi ogrodnik pod kierunkiem komendantki. Ilość mieszkańców Bucza dochodzi stale do 80-ciu osób, a w okresie wycieczek letnich i obozowania mieści czasem do 150-ciu nocujących, prowadząc jeszcze pozatem centralę żywnościową dla harcerzy, obozujących w pobliżu pod namiotami. Zwykli mieszkańcy Bucza, to uczestnicy kursów instruktorskich czyli starszyzna harcerska (nierzadko sięgająca już czwartego krzyżyka), albo też małe dzieci, dzieci śląskich bezrobotnych, przesyłane tu przez województwo na tak zwane przeszkolenie ruchowe, a raczej na kilkutygodniowe przyzwoite odżywienie po nędzy fabrycznych miast. Za dzieci te płaci województwo. Kursiści i goście



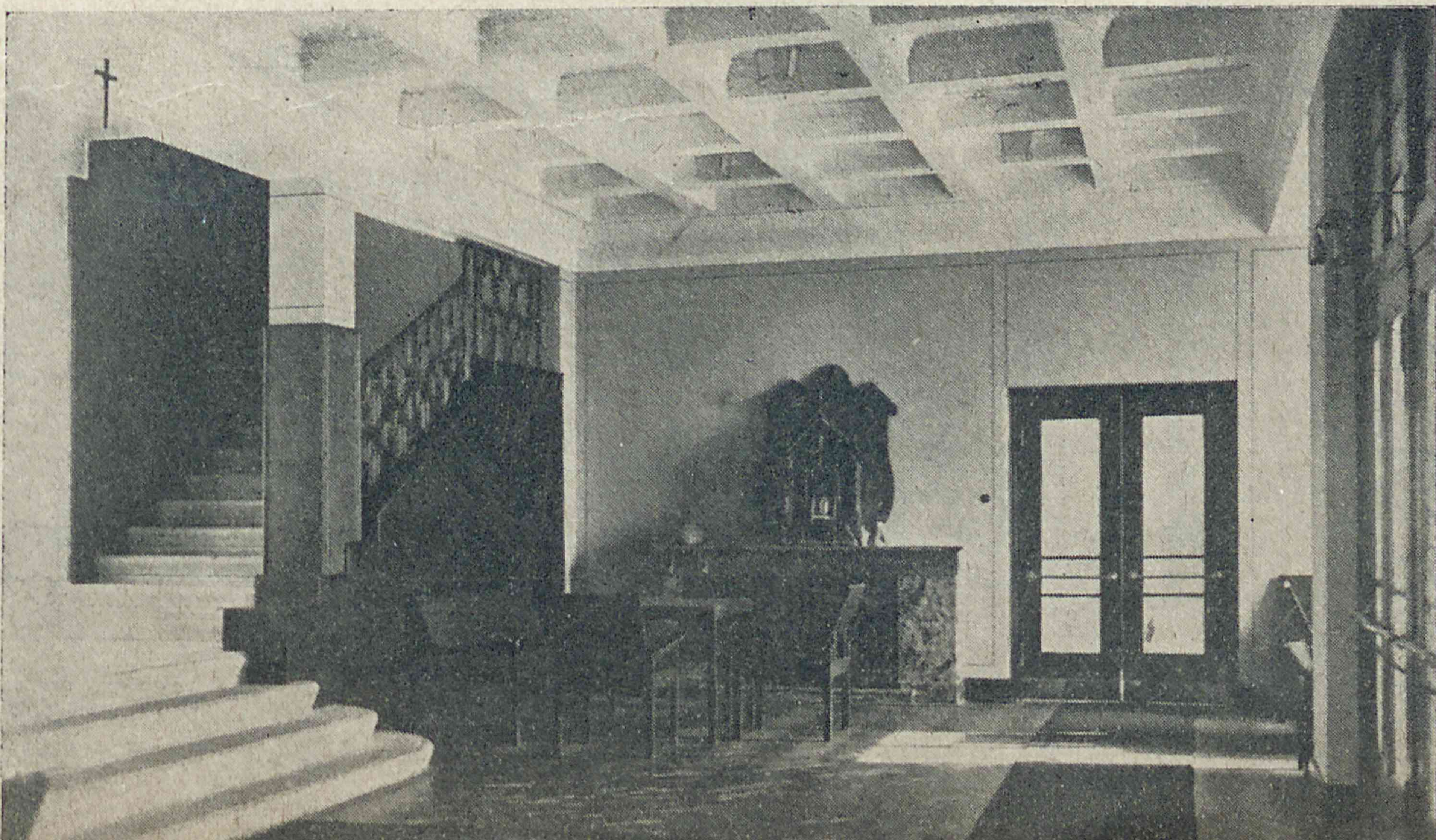
Prace harcerek — budowa namiotu

płacą za siebie po 2 zł. dziennie. Bucze gospodaruje tak znakomicie, że odżywiając swoich mieszkańców za te groszowe sumy bardzo dobrze, potrafi jeszcze zaoszczędzić pewne sumy, za które rozbudowuje stan harcerskiego posiadania. Obecnie np. stawia dom dla administracji, murując go rękami śląskich bezrobotnych z pustaków betonowych, wyrabianych domowym sposobem. Wznosi też piękną cieplarnię, w której mają być pędzone wczesne jarzyny do spieniężania w niedalekiej stacji klimatycznej, Wiśle. Wykańcza się budyneczki folwarczne, niedawno witano owacyjnie pierwszego konia. Wykwint gospodarki buczańskiej zdobywa się nawet na takie subtelności, jak doniczki kwitnących w styczniu tulipanów. Życie buczańskie ma swój regulamin. Każdy sprząta pokoje, każdy kolejno dyżuruje przy stole, od dygnitarskiej starszyzny do najmłodszego zucha-szczeniaka. Ale prócz komfortu i regulaminu, Bucze posiada jeszcze rzecz inną, najważniejszą i niezastąpioną: *atmosferę*.

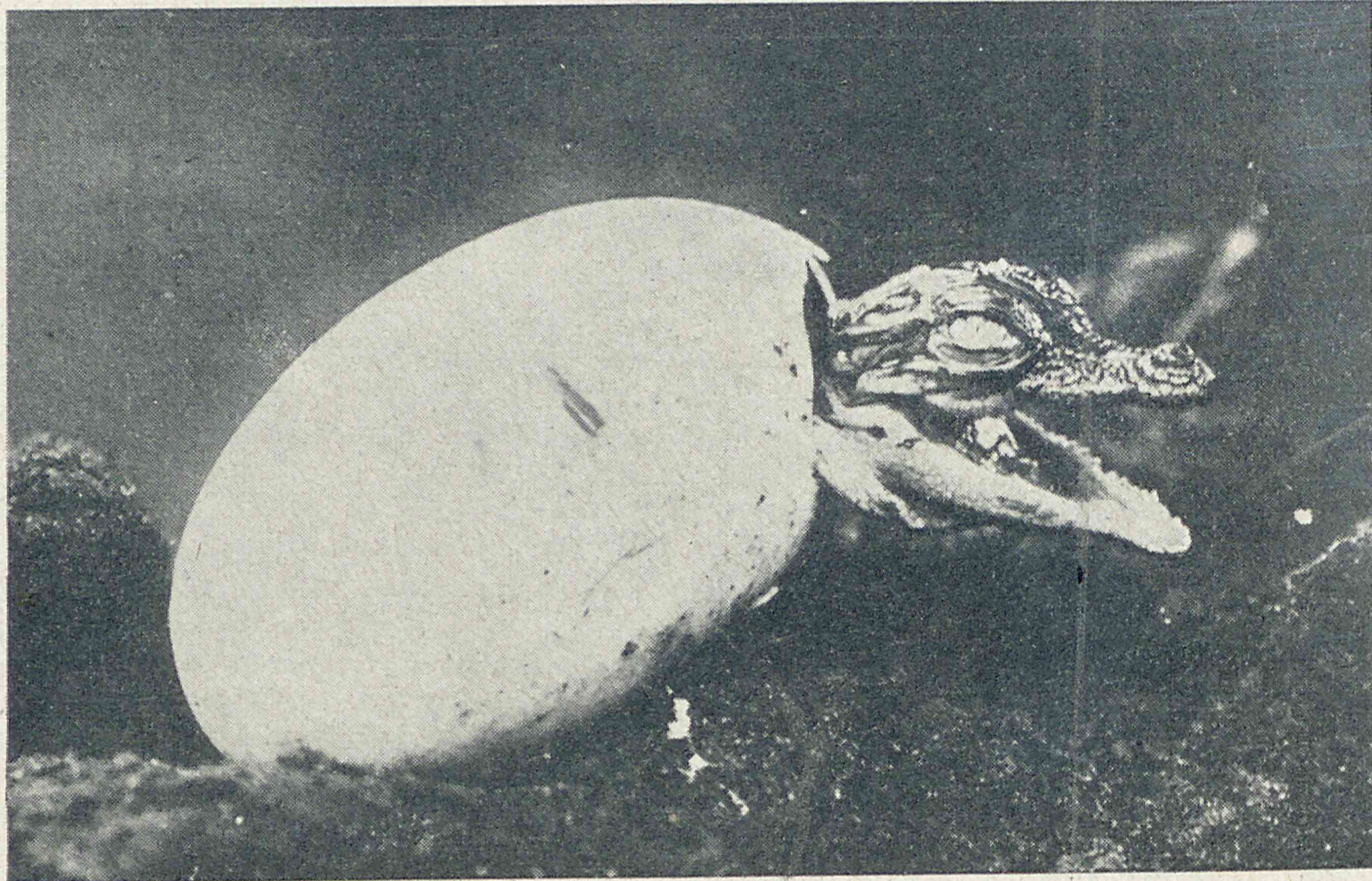
Atmosfera Bucza zawiera wyzwolenie od zagadnień. Tę czarodziejską domieszkę duchowego ozonu, którą daje pewność dobra i prawa. Dom ten — dom pozbawiony problematów, a natomiast pełen zadań — uzdrawia w parę dni nerwy, udręczone w błędnem kole problematyki współczesnej. Tu każdy pracuje, nie odbierając pracy innym. Każdy coś posiada, nic nie wyrywając z niczyich rąk. Każdy jest drugiemu bratem, samorzutnie, odruchowo, z harcerskiego nawyku.

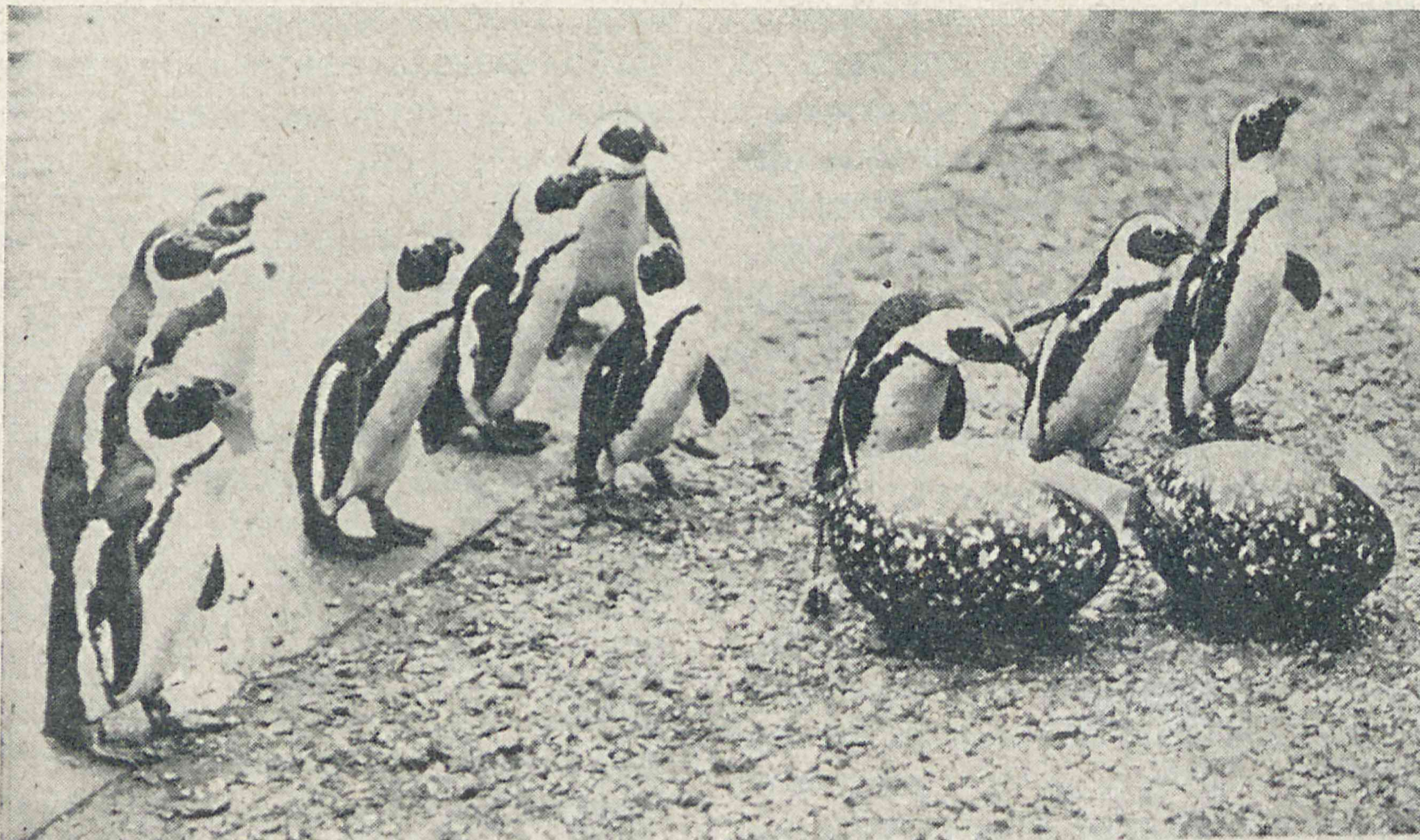
Dom na Buczu jest zasłużony — i dlatego się nie chwieje; służy Polsce — i tylko Polsce — i dlatego nie budzi wątpliwości. Stoi mocno, bo trzyma go niewidzialny wiew sztandaru nad dachem, a nietylko tęgie fundamenty i dobra kalkulacja.

Bucze — hall



WYCHODZĘ ZE SKORUPKI...





Jest znów uroczo na świecie, a przedewszystkiem — tak szalenie *młodo*. Damy, zbliżające się do drugiej wiosny swego życia, cofają się w popłochu o lat ...... dzieści i fruwają jak podlotki. Pączki na drzewach jeszcze takie maleńkie, że bardziej je widać wyobraźnią, niż oczami. Chmary dzieci wylegają na południowe słońce do parków. Na wsi pełno śmiesznych, niezgrabnych i czarujących cielątek. Kurczęta wylęgają się odrazu całemi stadami i tłoczą się komicznie, włażąc sobie wzajemnie na głowy. Poważnemi, czarnemi łebkami od szpilek przyglądają się otoczeniu i rozpełzają się niebacznie po kurniku, jak rozrzucone kłębki miękkiej włóczki, dopóki ich dorosła, pieczołowita ludzka ręka znowu nie sprowadzi do wspólnego mianownika.

A trochę dalej — nad Nilem — z jajka wyłazi młody krokodylek i udaje niewiniątko — a może jest nim w istocie — do czasu?

Pingwiny wyjrzały także na świat boży i o czemś strasznie rajcują...

Niema wątpliwości — to się nazywa wiosna.



BRUNO WINAWER

PLUDRY I SZEKSPIR

Niech tylko słońce wyjrzy, a każdy z nas — jeżeli mnie wzrok, węch, przeczucie nie mylą — wystroi się w tym sezonie z tyrolska po turecku. Tego roku *modne* będą tak zwane *plusfoury*, panowie, białe długie tyrolskie pończochy i getry.

Niby to się z tych rzeczy śmiejemy, my, mężczyźni, niby to uważamy je za wierutne bzdury i zawracanie głowy, niby to kręcimy nosem i ruszamy pogardliwie ramionami, a będziemy głęboko nieszczęśliwi, jeżeli sobie nie sprawimy takich właśnie szarawarów czy pludrów i takich właśnie białych wełnianych skarpetek. Nie są specjalnie ładne — zgoda, nie nadają się może dla nas i na to zgoda, owszem. Ale są *modne* i dlatego wdziejemy je wszyscy, tędzy, chudzi, mali, krótcy, bogaci, biedni, bez różnicy wieku, ras i zapatrywań politycznych. Będzie chodził w pludrach Litwinow, Mussolini, tancerz z Adrji, włamywacz, emeryt, uwodziciel. Prezes gminy żydowskiej i Hitler.

Nikt mnie nie może uważać za fircyka (w zalotach), niczem sobie na podobny epitet nie zasłużyłem, ale — nie będę ukrywał — siedziałem raz w kinie na dwóch seansach od szóstej do dziesiątej, bo chciałem podpatrzeć, jaką też ma marynarkę bohater dramatu — dwurzędową czy jednorzędową z rozporkiem. I nie będę się tego wstydził, bo ongiś lansował przecie modę człowiek, od którego później losy Europy w znacznej mierze zależały, Edward VII, a teraz ją lansuje jego wnuk, książę Walji. Co prawda wnuk ma zadanie trudniejsze, niż dziadek, bo teraz świat się zaroił od przeróżnych Adolfów Menjou i aktorzy filmowi rej wiodą i z ekranu ton nadają. Od nich się uczymy, ile guzików ma rękaw i jakie mają dziurki i okłady letnie półbuty.

Najciekawsze w tem wszystkiem, że za lat dwa, trzy, dziesięć, wytworny książę Walji, Menjou, Cooper, Brook, wnuk, dziadek, wszyscy będą jednakowo śmieszni razem z ich pludrami, rękawami, wyłogami, guzikami, szalami i krawatami. Widziałem niedawno fotografję w piśmie: Edward VII na wywczasach, w Paryżu... Żakiecik obszywany, spodenki pepita — boki zrywać, elegant z Sieradza.

Więc co to znaczy? Ulegamy jakimś bezapelacyjnym nakazom, jakimś przepotężnym prądom, nie możemy się im oprzeć i dowiadujemy się już po latach kilku, żeśmy się — dosłownie — sami „wystrychnęli na dudka"? Mam taką podobiznę własną, z której wynika jak na dłoni, że nosiłem za lat młodych czterocalowy sztywny kołnierzyk, owiązany halsztukiem i cud, że żyję, bo dziśbym się w tem napewno udusił..

Rzecz ciekawsza: owe mocne prądy miotają nami częściej, niż nam się zdaje. Nietylko kołnierzyki, halsztuki, guziki, półbuty, getry i spodnie bywają *modne*, ale także inne czcigodniejsze, szacowniejsze wytwory ducha i genjuszu ludzkiego. Umarł teraz w podeszłym wieku Meyer-Foerster. Słyszeliście to nazwisko? Napisał on niegdyś sztukę, która była największym sukcesem teatralnym wszech czasów. Grano ją lata całe bez przerwy na setkach scen, objechała wszystkie kraje, zawędrowała do Japonji. Przerabiano ją na film, na powieść... „Alt-Heidelberg". Studjowałem sam w Heidelbergu, mam miłe wspomnienia z poczciwej mieściny uniwersyteckiej, ale nie mogę pojąć, co w tym ckliwym kiczu — książę-student, dziewczyna, stary profesor, gaudeamus, tron wzywa, twardy obowiązek, pożegnanie — tak ludzi zachwyciło. Bardzo być może, że wystawiony o rok wcześniej albo o pięć lat później rzewny romans nie zwróciłby niczyjej uwagi. Przecież i z melodjami katarynkowemi bywa to samo. Najpierw szał, epidemja, zaraza nagminna. Od gazeciarza do prezesa ministrów każdy gwiżdże jakąś „miłość kończącą się", a po roku cisza, nikt nie pamięta, że taka serja tonów wogóle istniała.

Mógłby o tem własną piosenkę zaśpiewać dobry pisarz włoski, Pirandello. Jego przygoda z *Famą* doprawdy zdumiewa i przeraża. Pisarz starszy, już siwy, zdobywa nagle sławę wszechświatową, jego sztuka objeżdża pół globu, podziwia ją zimny Londyn, ekskluzywny Paryż, trzeźwy Nowy Jork, kapryśna Warszawa. Ford chce nabyć na własność całą produkcję autora i wystawiać go — prawdopodobnie systemem seryjnym — na terenie obu Ameryk.

Nagle — kamień w wodę. Nikt Pirandella nie gra, nikt nie wznawia, nawet w okresach najstraszliwszej posuchy repertuarowej. „Gdy miłość kończy się..."

Istnieją powieści o wojnie, które odniosły tryumf niebywały w dziesięć lat po wojnie. Napisane trochę wcześniej, albo nieco później minęłyby może bez echa. To nie zależy od ich — głębszej — wartości.

Bywają wallasy, dzikuski i inne iwonki. Pamiętamy wszyscy sukces podrobionego pamiętnika „Jestem głodny". Gdzieś to się później zapada w nicość. Heine przeboleć nie może sukcesów niejakiej pani Birch-Pfeiffer. Mickiewicz wspomina niejaką panią Krüdener.

Wydawcy, dyrektorzy teatrów polują po dniach i nocach, czyhają w zaułkach na taką właśnie dziwożonę. Niestety — nigdy nikt tajemnego rytmu nie odgadł, prądu psychicznego nie zbadał dokładnie. Byli tacy, co zbankrutowali na powieściach erotycznych i tacy, co własne spodnie stracili na romansach kryminalnych.

Uczono nas zresztą dawniej w długich i nudnych historjach literatury, że nie trzeba się oglądać na te bzdurne sukcesy krótkotrwałe, że trzeba tworzyć walory wieczne, bujać w czystem powietrzu wyżyn, stamtąd czerpać natchnienie, a unikać, jak zarazy, spraw przyziemnych, aktualnych.

Bujda. Głupstwo. Belferskie morały. Nonsens. Gadanie.

Nieprawda. Właśnie najbardziej chyba wieczny z autorów teatralnych, Szekspir, ma w ostatnich czasach dziwne przygody ze swoją publicznością. W Paryżu mury się trzęsą od przeróżnych manifestacyj i kontr-manifestacyj na „Korjolanie", w Warszawie „Kupiec wenecki" jest trochę za aktualny, a w Hitlerji może „Otello", zagrany właściwie, poruszyłby na nowo kwestję „rasową".

Mojem zdaniem, szanujący się dramatopisarz, nawet jeżeli ma lat trzysta z ogonkiem, powinien być jednak cokolwiek ogląǳiejszy w doborze tematów.

Ale Szekspir jak widzimy nie oparł się prądowi — napisał kilka rzeczy *modnych*.

Kto wie, czyby w naszych czasach nie nosił się z turecka po tyrolsku. I getry muszą być płócienne!

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

Dlaczego nie „najpiękniejszy"

1. Simone Martini. „Ś-ta Klara"

Zamknięta niedawno w Zachęcie wystawa „Najpiękniejszy portret kobiecy", uwieńczona plebiscytowem głosowaniem publiczności, była jednem wielkiem nieporozumieniem. Hasło „portretu *najpiękniejszego*" jest bowiem tak mgliste i artystycznie nieuzasadnione, że skierowało zarówno artystów, jak widzów na manowce.

2. Memling. „Portret Marji Moreel"

Co miało oznaczać określenie „najpiękniejszy"?

Czy portret *najlepszy* malarsko, czy też portret *najpiękniejszej* damy?

W pierwszym wypadku artyści byliby mogli nadsyłać portrety kobiet brzydkich, starych, niewytwornych, może nawet odrażających,— ale mogły to być pełne wyrazu dzieła sztuki. W drugim wypadku musieli ulec hasłu wartości nieistotnych w sztuce—i dbać przedewszystkiem o konterfekt „przystojny", gładki, osoby młodej, ładnej, eleganckiej, możliwie pozbawionej indywidualności. I tak przeważnie uczynili.

A publiczność poszła na to—jak na lep.

I w rezultacie widzowie wybrali jako „najpiękniejszy"... kicz Tadeusza Styki, ucieleśnienie reklamy na kosmetyk. (Bo nawet na pudełkach od czekoladek firmy warszawskie nie umieszczają już rzeczy tak przerażająco banalnych).

Aby sobie trochę smak poprawić po tej ckliwo-lukrecjowej pomadce, przyjrzymy się kilku portretom „brzydkim"— to znaczy kobiet niepięknych.

* * *

Przedewszystkiem: co należy rozumieć pod określeniem „piękno" w portrecie.

Na walory jego składa się w pierwszym rzędzie sama robota, tak jak w każdym obrazie — a więc dobry rysunek, kolor, kompozycja, faktura malarska. Pozatem od portretu wymagamy jeszcze elementu, którego np. od martwej natury nie oczekujemy, choćby to był najwspanialszy śledź, leżący na krzywym stole koło glinianego garnka i rozkrajanej cytryny. Od portretu — jeśli istotnie ma być dziełem sztuki, a nie fotografją, wymagamy jeszcze *wyrazu*. Artysta musi być w portrecie psychologiem, musi z modela wyciągnąć do ostatniego włókna jego *ja* nietylko fizyczne — i musi je malarsko w swojem dziele oddać. Tylko wtedy portret żyje. I tylko wtedy ma urok.

Taki urok rzuca od lat sześciuset „Święta Klara" Simone Martini w Bazylice Ś-go Franciszka w Assyżu (ilustr. 1). Jest w tym fresku niesamowite uduchowienie, zapatrzenie w zaświaty, obojętność na sprawy ziemskie, jakaś wyniosła łagodność — jest słowem głębia ekspresji, poza wspaniałą techni-



3. Holbein młodszy. „Królowa Anna angielska"

ką. Obraz, na którym nic się nie dzieje: twarz kobieca trochę nieproporcjonalna, jajowata, o oczach zbyt wąskich i nosie za długim — na tysiącach ludzi robi wrażenie tak silne, że łzy im w oczach stają, głośniejsze słowa więzną w gardle, mowa przechodzi w szept, a roztargniony szybki krok turysty — w ostrożne stąpanie na palcach. Zaryzykuję tu nienaukowe oczywiście twierdzenie, że Simone Martini w postaci Świętej Klary uwiecznił rysy ukochanej kobiety. Może to, co czuł, malując ją przed

sześciu wiekami, równie silnie nas dzisiaj wzrusza, gdy patrzymy na jego dzieło.

Zupełnie inne w wyrazie i technice są portrety: Memlinga „Marja Moreel" w Bruges (ilustr. 2) i Holbeina młodszego „Królowa Anna angielska", która znajduje się w Luwrze (ilustr. 3).

Flamand usunął ze swej kompozycji wszelkie zbędne ornamenty, aby wydobyć tem pewniej smutne zamyślenie szarej, nijakiej twarzy Marji Moreel: rozpłaszczony długi nos, szerokie kości policzkowe, bombiaste czoło, fantastycznie powyginane ucho. Ale jaki to wszystko ma wyraz! Jak jest zrobione! Jak ten kwef przezroczysty jest skomponowany, potrzebny!

Królową Annę musiał Holbein ustroić odpowiednio bogato. Nie będziemy mu o to wytaczali procesu. Prawda, żeśmy tymczasem odeszli o cały świat pojęć malarskich od uproszczeń Simone Martini — ale i realizm Holbeina ma swój urok. Niewyrazista, martwa twarz królowej, o oczach zdziwionych i wyczekujących, wkomponowana jest w ten strój z nieomylną pewnością. Usta jej równie subtelnie są odtworzone, jak kolja na jej szyi, jak arystokratyczne ręce i jak pierścionki, które je zdobią. I ten portret kobiety niepięknej jest dziełem sztuki najwyższej klasy.

Znowu brzydka twarz i znowu znakomity, pełen wyrazu „Portret mamki" — Guida Reni (ilustr. 6). Włoski malarz na przełomie wieku XVI i XVII nie ma już nic z ascezy Simone Martini, tak jak nie ma nic z obcej mu rasowo suchości mistrzów flamandzkich i niemieckich. Maluje szeroko, soczyście tę kobietę z ludu, o grubych spracowanych rękach, żylastej szyi, o twarzy pomarszczonej, pełnej dobroci i energji.

A ta znów znakomita jędza, dzieło współczesnego malarza włoskiego, Guido Parin (ilustr. 4)— przezornie zatytułowana „Sybilla". Szerokie szczęki mocno zaciśnięte, krzaczaste brwi, czarne świdrujące oczy, czoło zmarszczone groźnie — cały dramat w jednej ludzkiej twarzy. Czy piękna? — Wspaniała!

A „Olimpia" Maneta? — Słynna Olimpja (ilustr. 5), którą przy pierwszem wystawieniu na widok publiczny uznano za obraz gorszący — wisi dzisiaj w Luwrze i, powiedzmy to otwarcie, zdradza bliskie pokrewieństwo w technice malarskiej z ultra-klasykiem, Ingres'em. Olimpja o twarzy kwadratowej, bezmyślnej, wulgarnej, jak kokarda, którą ma nad uchem — ta Olimpja jest znakomitym portretem, w którym malarz nie wyrzekł się prawdy, aby nie zatracić wyrazu.

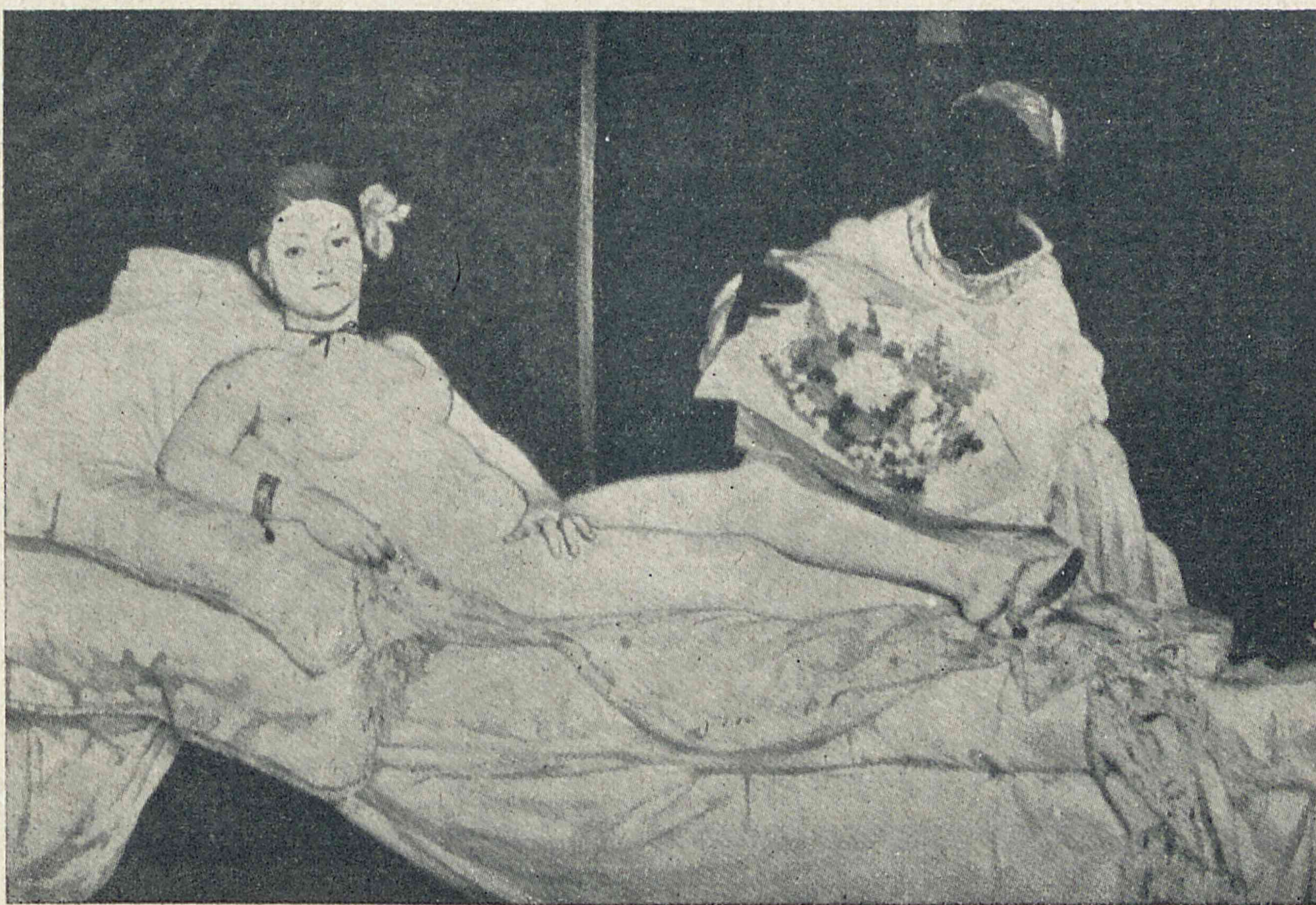
*

Wiemy aż nadto dobrze, że malarz portretów niewieścich — tych zwłaszcza „na zamówienie" malowanych — ulegać często musi kaprysom swych modelek, które wolą tanią „ładność" od cennej indywidualnej ekspresji. Jest to ze strony współczesnych dam dowód złego smaku artystycznego. Gdyby wiedziały, jak Velasquez, *malarz nadworny*, malował swego króla Filipa IV i ludzi z jego otoczenia, jakich z nich robił degeneratów i matołów (bo takimi byli) — i jak świetne skutkiem tego pozostawił dzieła — przekonałyby się nasze piękne panie, że i portret „reprezentacyjny" nie musi być mdły.

*



4. *Guido Parin. „Sybilla"*



5. *Manet. „Olimpia"*

Kiedy przed paru laty oprowadzano Brianda po Galerji Doria w Rzymie, zatrzymał się nagle zafrapowany. Patrzały na niego przebiegłe oczy, uśmiechały się sardonicznie mądre usta z fascynującego portretu Papieża Inocentego X, Velasqueza. Ktoś usłużny ze świty szybko podpowiedział ministrowi: „Ça c'est le pape Innocent".

„Innocent?" — kpiąco odrzucił Briand — „ma foi, il n'en a pas l'air"...

Jeszcze raz tryumfował w dziele sztuki wyraz nad dworską układnością: jedno z najświetniejszych dzieł malarskich w sztuce wszystkich epok — obnażające do dna psychikę modela — jest *oficjalnym* portretem wszechwładnego Papieża...

Spojrzyjmy na dzisiejsze portrety oficjalne i westchnijmy.

6. *Guido Reni. „Portret mamki"*



DR. GUSTAW OLECHOWSKI

Spór o wystawę

Po gorącym artykule art.-mal. Szczęsnego Rutkowskiego, z werwą krytykującego projekty Wystawy Światowej, zamierzonej w Warszawie za lat dziewięć, umieszczamy dziś artykuł „w obronie" projektu Wystawy. Temat poruszony przez nas widocznie dotknął zagadnienia żywego — otrzymujemy bowiem nowe głosy „za" i „przeciw". Umieścimy je w najbliższych numerach „Świata".

Dyskusja, jaka się rozwinęła w prasie na temat Wystawy Światowej, mającej się odbyć w Warszawie w 25-lecie niepodległości, to znaczy za lat 9, nabiera stopniowo temperatury. Dowodzi to, że sprawa jest gorączkowa.

Znam dokładnie historję wszystkich wystaw powszechnych, których było 54, licząc od końca XVIII-go wieku, ściślej — od I-ej Powszechnej Wystawy, jaka odbyła się w Pradze w roku 1791. Można bez paradoksu twierdzić, że wszystkie przyniosły swoim krajom nieobliczalne zyski. Bo z obliczalnemi bywa różnie. Naprz.: Paryska 1889-go roku przyniosła 8 miljonów czystego dochodu, ale Wystawa w Wimbley roku 1924 dała 2 miljony franków deficytu.

Ale i jedna i druga cyfra są pozorne. Wystawa zawsze daje zyski. Bo bilans wystawy — to nie tylko koszty budowy w passywach, a dochód z wejść, stoisk, koncesji i t. p. w aktywach. Zyskiem wystawy są zwiększone obroty pieniężne, zwiększone dochody skarbowe z ceł, ogromny wzrost ruchu kolejowego i żeglugowego, napływ walut obcych, ożywienie handlu detalicznego, nawiązanie stosunków handlowych, tempo udoskonaleń technicznych, ekspansja we wszystkich kierunkach, turystyka, propaganda, kongresy, inwestycje, które pozostają, ale nadewszystko Wystawa — to ten nieoceniony moment psychiki zbiorowej, który staje się egzaminem narodowej energji, inicjatywy społecznej, sprawności organizacyjnej, administracyjnej, improwizacyjnej, a jednocześnie przewidywania i porządku.

Ale nasza Wystawa i w obliczalnych zyskach będzie zupełnie pewna, bo przy naszych nizkich cenach budowa jej będzie kosztowała nie więcej nad 100 — 150 miljonów, licząc już bardzo bogato w zestawieniu z kosztami wystaw dotychczasowych, a jeżeli w roku 1900-ym wystawę w Paryżu odwiedziło 48 miljonów ludzi, to niech Warszawę odwiedzi tylko 12 miljonów, w tem 9 z Polski, a tylko 3 miljony z zagranicy, to już koszty wystawy będą pokryte, bo przecież żaden cudzoziemiec nie zostawi chyba w Polsce mniej niż 200 złotych.

Jakże skromni jesteśmy! 3 miljony cudzoziemców, gdy do Barcelony przyjechało ich 7!

Więc, gdzie ją urządzić. Bo są takie głosy, żeby w Gdyni!

Zapytam tylko, czy ten, kto rzuca myśl urządzenia Wystawy Światowej w Gdyni, zastanowił się, że nie możnaby tam wogóle dowieść 12 miljonów gości, bo na to trzebaby zbudować przedtem jeszcze ze 6 — 7 nowych linji kolejowych, by w sześć miesięcy przerzucić taką ilość pasażerów. Tobyśmy dopiero napchali pieniędzy Gdańskowi i Copotom, bo oczywiście wszyscy przyjezdni cudzoziemcy tamby mieszkali. Projekt Gdyni i temu podobne dowodzą tylko, jak odważny jest obywatel polski, zabierając głos w sprawie, w której nie potrafił nawet — zebrać informacji.

Trzeci gatunek objekcji dotyczy pytania, jak urządzić Wystawę i tu spotkaliśmy się z ciekawem ujęciem sprawy przez pana Szczęsnego Rutkowskiego w numerze 12-ym „Świata", który proponuje, by zamiast organizować wystawę, jak to się zwykle robi, uczynić samą Warszawę wystawą wszelkiej doskonałości.

Projekt istotnie monumentalny, ale tak daleki, jak ta Wystawa, którą będziemy mieli za owe 125 lat w zestawieniu z tą, którą się zrobi za lat 9.

Obraz idealnej Warszawy, jaki nam nakreślił p. Rutkowski, jest czarujący, wszyscy do niego wzdychamy.

Ale byśmy mogli samą Warszawą zaimponować światu! I to za 9 lat! To już jest marzenie ściętej głowy. Czyż istotnie można się łudzić, że nowy dworzec nasz zaimponuje amerykaninowi, który u siebie w New-Yorku wysiada na Pensylvania Station? Czy asfaltem wszystkich nawet 1300 ulic Warszawy zaimponujemy Kanadyjczykowi, który wogóle innych jezdni nie widział, asfalty uważa za przestarzałe w tej dziedzinie, bo już przechodzi na jezdnie betonowe, a na najgłębszej swojej prowincji może jechać dwie doby po nieskończonej asfaltowej szosie. Czy może Australijczyk zdumieje na opowiadanie, że miasto liczące sobie kilka wieków doszło do doskonałości, gdy on zbudował sobie stolicę-cacko w kilkanaście lat, ostatnie słowo urbanistyki, komfortu, kultury, miasto-model. Czy nasze muzeum narodowe ma zaimponować italczykowi, który zna niezliczone swoje muzea, począwszy od Watykanu? Czy Węgier ma osłupieć na wybrzeżu Wisły, gdy je zestawi z brzegami Dunaju w Budapeszcie? Czy mieszkańcowi Hagi czy Delftu zaimponujemy czystością krańcowo nawet wyszorowanych Nalewek, jemu, który mydłem i szczotką szoruje u siebie trotuary na codzień? Albo Duńczykowi, który sprowadza dla badań naukowych pchły, bo w całej Kopenhadze nie znaleziono ani jednej. Czy Anglika znającego Windsor oszołomimy Wilanowem, czy Zamek nasz najpiękniej odnowiony zaćmi „Slot" stokholmski, Helsingör duński czy inne? Czy Belg z Grand' Place będzie olśniony naszym Rynkiem Starego Miasta. I Paryżanina nie olśni „na placu przed dworcem feerja reklamowa", jak pisze p. Rutkowski, bo przecież i rue de la Paix i Avenue de l'Opera i Champs Elysés nienajgorsze też mają witryny. Nie. My mamy inne, ciekawsze rzeczy do pokazania.

„Ani chińczyk, ani murzyn" nie przyjadą podziwiać „porządnie odtynkowanego Teatru Wielkiego". Dopiero gdy chińczyk wystawi w Warszawie jakąś swoją „złotą świątynię z Dżehol", to napewno skorzysta z tej okazji, by skalkulować, czy z taką pogardą wymienione przez pana Rutkowskiego obok czekoladek lokomotywy nie będą wypadkiem tańsze od angielskich, a gdy murzyn z Liberji wystawi na Saskiej Kępie kość słoniową i kauczuk, to nie wróci napewno do siebie nie zawarłszy tranzakcji na łódzkie perkaliki.

A że do tego czasu musi stanąć na Mokotowie świątynia Opatrzności i nowy most na Wiśle od ul. Karowej i że sto innych rzeczy zmieni się w Warszawie, to właśnie Wystawa wszystko to przyspieszy.

Wystawa stanie się środkiem pędnym dla Stolicy a regeneratorem dla całego Kraju.



Misje katolickie w Chinach zakładają ochronki dla sierot chińskich, któremi opiekują się Siostry Szarytki



Rozkosze więzienia na „Welfare"

B. T. LEPECKI

NAJDZIWNIEJSZA WYSPA AMERYKAŃSKA

Stany Zjednoczone są krainą zadziwiających kontrastów. Obok miljarderów, kąpiących się w szampanie, spotykamy tam biedaków, przymierających z głodu. W Nowym Yorku piętrzą się kilkudziesięciopiętrowe building'i, podczas, gdy w Górach Skalistych indjanie dokonywują w nędznych szałasach swego marnego żywota. Obok idealistów, walczących z biedą, demoralizacją i chorobami, widzimy tam szajki nieludzkich bandytów, załatwiających swoje porachunki przy pomocy browningów i karabinów maszynowych.

I w dziedzinie więziennictwa amerykańskiego rzucają się w oczy najjaskrawsze kontrasty. Obok ponurych więzień, takich jak „Big house", mamy słoneczne „reformatorja", gdzie cały wysiłek skierowany jest nie na zgnębienie, ale na poprawienie więźniów. Istnieją wreszcie więzienia przekształcone za dolary zbrodniarzy na prawdziwe raje przestępców — rodzaje uniwersytetów bandycko-złodziejskich. Niedawno ujawniono oryginalne stosunki, panujące w zakładach karnych na wyspie „Welfare" w Nowym Jorku.

„WELFARE"

Między dzielnicami Manhattan i Queens leży na środku rzeki East mała wysepka Blackwell, która w roku 1921 otrzymała inną nazwę, a mianowicie *„Welfare"*. Wyspa ma śliczne położenie, ale nikt nie chciałby na niej mieszkać, bo mieszczą się tu olbrzymie zakłady karne.

O stosunkach panujących w więzieniu welfarskiem zdawna krążyły przeróżne gadki, ale trudno było myśleć o jakiejkolwiek sanacji, bo Nowym Jorkiem trzęsła wszechwładna organizacja Tammany Hall i nie dopuszczała do kontroli. Nawet prasa nowojorska miała usta zamknięte.

Ale stosunki się zmieniły. Oburzenie zdrowych żywiołów złamało potęgę Tammany Hall. Władzę objął radykalny republikanin, La Guardia, który został burmistrzem Nowego Jorku. Postanowiono zbadać sytuację w zakładzie karnym na „Welfare".

NAJAZD

Pewnego ranka La Guardia wezwał do siebie komisarza zakładów poprawczych, p. Austin Harbutt Mac Cormick'a i polecił mu, aby na czele kilku oddziałów policyjnych „najechał" niespodziewanie Welfare. Relacje złożone burmistrzowi Nowego Jorku po odbyciu tej interesującej choć krótkiej podróży były poprostu oszałamiające. Okazało się, że więzieniem rządziło 68 więźniów, z którymi zarząd legalny musiał się liczyć, ponieważ zbrodniarze mieli poparcie wpływowych polityków nowojorskich. Owych 68 więźniów zabierało z racyj ogólnych najlepsze mięso i najlepsze jarzyny i odprzedawało je kilkuset innym więźniom, posiadającym pieniądze. Więźniowie-biedacy przymierali głodem i karmieni byli produktami, które należałoby wyrzucić do kanału.

Złodziejski zarząd dzielił się na dwie szajki: irlandzką i włoską. Przywódcy rozlokowali się w wygodnych łóżkach szpitalnych, zaś prawdziwi chorzy dusili się w ciasnych celach.

„SZEFOWIE"

Szefem szajki irlandzkiej był Edward Cleary. Całemi dniami wylegiwał się on w łóżku, obok którego stała konew do mleka napełniona samogonką. Wódkę tę sprzedawał herszt swoim współwięźniom po bardzo słonych cenach.

Leaderem Włochów był głośny bandyta Joie Rao. Zbój golił się właśnie, kiedy odwiedził go komisarz Austin Harbutt Mac Cormick. Komisarz kazał mu natychmiast udać się do odosobnionej celi, gdzie było jego właściwe miejsce. Rao odpowiedział opryskliwie, że pójdzie dopiero wtedy, kiedy się wyelegantuje. Zastępca komisarza, ex-bokser, Dawid Marcus, przywrócił go jednak szybko do rzeczywistości i bandyta, już bez dalszych rozważań, powędrował do izolowanej celi.

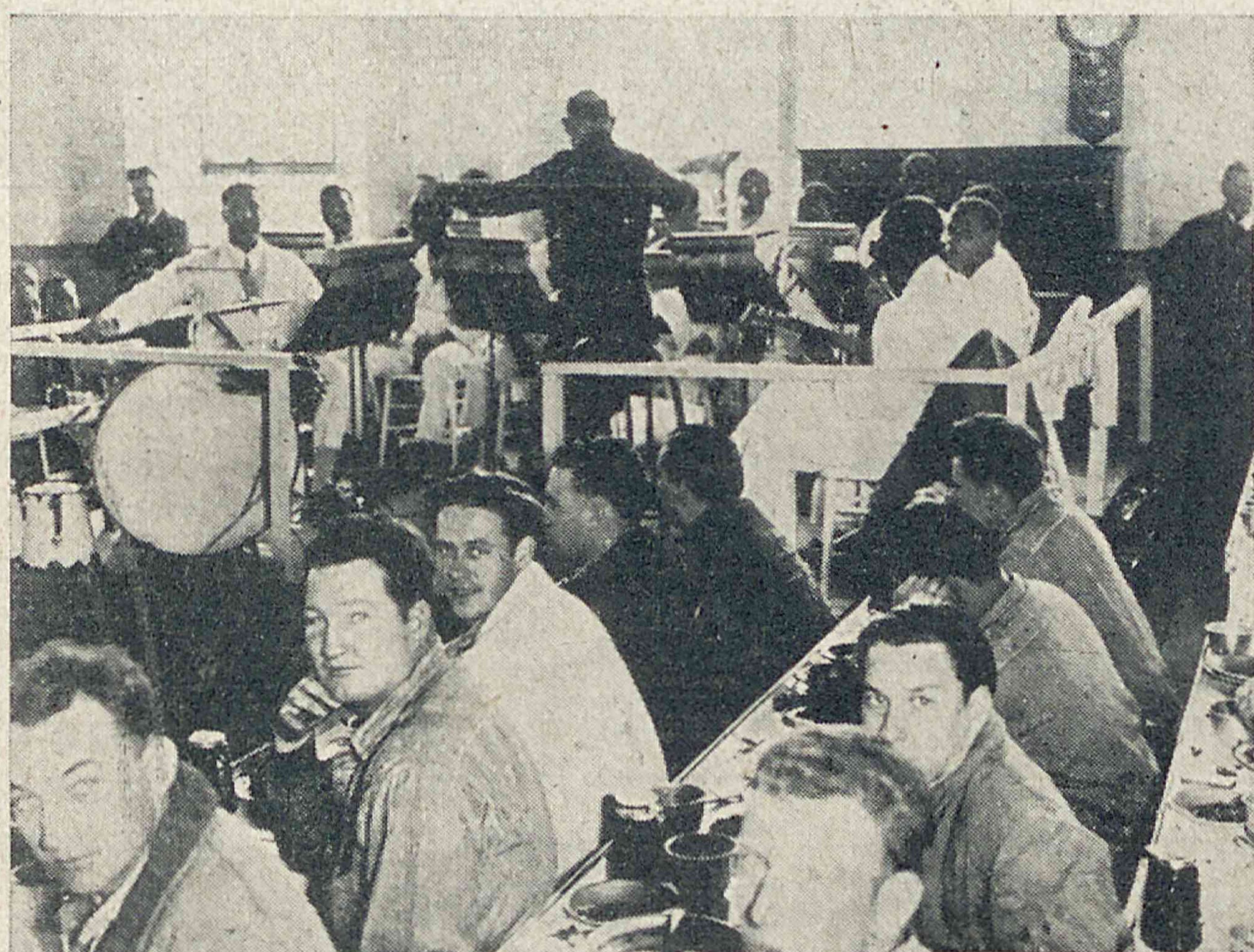
Zarówno Cleary, jak i Rao rozmiłowani byli w ptakach i zwierzętach. Obydwaj lubili pieczone gołąbki i hodowali spore stadko tych smacznych ptaków. Pozatem Cleary trzymał w swoim pokoju psa policyjnego, zaś dla Rao hodowano w zakładzie kozę, aby leader włoski miał codziennie świeże mleko. Przed izbami obu hersztów urządzono piękne ogródki. Obaj zaopatrzeni byli w specjalne legitymacje i kiedy chcieli, mogli spokojnie wyjeżdżać na miasto.

W ODDZIAŁACH DLA NARKOMANÓW I ZBOCZEŃCÓW

Wstąpiwszy do bloku zajętego przez narkomanów, komisarz znalazł w ich celach elektryczne piece, kociołki, siekierki, noże masarskie, sztylety, rury ołowiane i igiełki do wstrzykiwania narkotyków.

W innej znów części gmachu ko-

misarz Mac Cormick zastał wśród więźniów blisko 200 osób upudrowanych i umalowanych. Byli to homoseksualiści. W dzień pracowali w pralni, w nocy, nie separowani zupełnie od normalnych więźniów, udawali się do wspólnych sypialni. W celach ich znaleziono puder, farby, perfumy, damską bieliznę... Odbywały się tam orgje, których opisu nie podano do publicznej wiadomości.



aby się zbrodniarze nie nudzili, przygrywa im jazz..



REFORMY

Komisarz natychmiast przystąpił do reform. Leaderów szajki Cleary, Rao et Co. osadził w osobnych celach, zaś wódkę, broń, szminki i t. p. skonfiskował. Ze szpitali przepędzono zdrowych hersztów i umieszczono na ich miejsce chorych i narkomanów. Zboczeńców izolowano od ludzi normalnych. Zarządca więzienny, Joseph A. Mc Cann został oskarżony o przekroczenie niemal wszystkich przepisów więziennych i natychmiast usunięty z urzędu. Zapytany przez komisarza o przyczyny tak dziwnego postępowania, Mc Cann oświadczył, że musiał z niektórymi z więźniów łagodnie się obchodzić, ponieważ mieli wielki wpływ na swoich towarzyszów i pomagali mu w utrzymywaniu ich w ryzach. Stanowisko jego poparł niejaki Joseph Fulling Fishman, który był dawniej zastępcą komisarza zakładów karnych. Opisując stosunki panujące na wyspie „Welfare" w jednem z pism amerykańskich, Fishman stwierdza, że zarządzanie tam więzieniem nie jest rzeczą łatwą. Niema tam murów, niema warsztatów, a więźniowie składają się z ludzi różnych narodowości. Stale przebywa tam 1800 ludzi, a rotacja roczna dochodzi do 30.000. Do więzienia przysyłają co roku około 1.200 nałogowych narkomanów, czyli więcej niż do wszystkich zakładów federalnych razem. Przez wyspę „Welfare" przechodzi co roku blisko 200 zboczeńców i 1.500 nałogowych pijaków, czyli o wiele więcej niż przez jakikolwiek inny zakład w Stanach Zjednoczonych.

NIEPOKOJĄCE POSTĘPY ZBRODNI

Afera w „Welfare" jeszcze raz jaskrawo oświetliła zastraszający postęp świata zbrodni w Stanach Zjednoczonych. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat gangsterzy uszli ładny kawałek drogi. Naprzód skorumpowali policję i w wielu wypadkach weszli z nią w ścisłą „sztamę". Potem, za pośrednictwem niesumiennych adwokatów, zaczęli wciskać się do sądów. Ostatnio zaś potrafili przekroczyć żelazne wrota więzienne i w wielu wypadkach przekształcają zakłady karne według swojego zbrodniczego widzimisię. Leaderzy szajek bandyckich podzielili się dzielnicami wielkich miast i okładają warstwy posiadające sutym podatkiem. Bandyta okręgowy regularniej przychodzi po swój haracz, niż inspektor skarbowy. Każdy musi mu płacić określone kwoty, jeśli nie chce, aby zdemolowano mu dom lub nawet zamordowano w ciasnej ulicy. Policja jest bezsilna wobec zorganizowanej akcji świata zbrodni. Ma w swojem łonie tylu szpiegów opłacanych przez bandytów, że każda akcja prowadzona na szerszą skalę musi zawieść.

Trudno się dziwić, wobec tego, iż w Stanach Zjednoczonych coraz popularniejsze staje się „prawo Lynch'a". Dawniej stosowano je tylko do murzynów. Obecnie linczuje się i białych. Może ta bezwzględna choć straszna i częstokroć niesprawiedliwa reakcja społeczeństwa doprowadzi do sanacji zabagnionych stosunków i umożliwi skuteczne zwalczanie rozwielmożnionego gangsteryzmu.

...orgie, których opisu nie podano do publicznej wiadomości..



ŚWIAT FILMU



Bardzo ciekawe uwagi o niedolach filmu polskiego, jako artysta i producent zarazem, robi

EUGENJUSZ BODO.

— Film polski — mówi z błyskiem w oczach — jest cudowny w stosunku do warunków, w jakich powstaje. W pierwszych latach swego rozwoju dostał się w ręce ludzi zupełnie nieodpowiednich, którzy traktowali go jedynie jako źródło szybkiego zarobku. Rezultat był taki, że ci „fachowcy" odstręczyli od filmu i poważniejsze jednostki i kapitał. Dużą przeszkodą był brak odpowiedniego atelier. Jak naprzykład w atelier położonem na pierwszem piętrze filmować konia, lub zderzenie dwóch samochodów? Niezadługo braki te będą usunięte. Będziemy mieli atelier europejskie 40 × 28 m., w którem jako tako da się pracować. Trzeba zobaczyć na własne oczy dotychczasowe ateliery, aby zrozumieć, jaką męczarnią było filmowanie w tych warunkach.

— Jest jeszcze jedna bardzo bolesna sprawa. Stosunek cenzury do filmu polskiego, która kierując się jakąś średniowieczną pruderją zepsuje każdy film, wykazując dziwną tolerancję dla filmów zagranicznych. W moim „Pieśniarzu Warszawy" wycięto naprzykład scenę wkładania banknotu za gors, jako „obrażającą moralność publiczną". Podobnych faktów jest wiele. Precedensy tego rodzaju mogą być bardzo niebezpieczne i uniemożliwiać odtwarzanie realizmu życia w najogólniejszych nawet formach.

— Jaka jest publiczność polska?

— Dziwnie niewyrozumiała i kapryśna. Gdy w filmie polskim pokazuje się biedne milieu, podwórko, lub zaułek, sarka i żąda salonów. W filmie francuskim to samo milieu nie przeszkadza, a nawet budzi zachwyt. Przekonałem się o tem na własnej skórze. W „Głosie pustyni" mówiłem po arabsku. Śmiano się. Co ten Bodo, umie po arabsku? Bujda!... Ale Arab przemawiający z ekranu po francusku, lub angielsku, żadnego z naszych widzów nie dziwi. Uważają oni, że wszystko jest w porządku. Zwróciłem uwagę na pewien absurd w filmie „Rajski ptak". Bohater obrazu poznaje swoją dzikuskę w poniedziałek, a w sobotę gadają już ze sobą śliczną angielszczyzną. Gdyby coś podobnego zrobił polski producent, prasa i publiczność zakrakałyby momentalnie. U nas wymaga się od komedji polskiej uniwersyteckiej logiki i matematycznej rzeczowości.

— Jakie są konjunktury handlowe?

— Najfatalniejsze. Trzeba wydać około 150.000 zł. na jeden obraz, który w najlepszym wypadku wyświetlać można w 230 kinach. Ale to jest legenda. O zagranicy niema mowy, gdyż język polski jest nierozumiany, a na nakręcenie w dwóch wersjach nikt nie posiada pieniędzy. W Łomży „superszlager" z Gretą Garbą czy Romanem Novarro kręci się za 50 zł., a to dlatego, że właściciel kina kontraktuje odrazu kilkanaście obrazów i biuro przy tej cenie coś nie coś zarobi. Jak ja mam jeden obraz, to na prowincji, a nawet na peryferjach Warszawy dostanę za niego 30 do 50 zł. i koniec... Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę, że zagranica całego szeregu filmów nie pokazuje obcym. Gdybyśmy je zobaczyli, przekonalibyśmy się, że są one znacznie gorsze od naszych. Wiele z nich ma powodzenie tylko dzięki wystawie. Nie chcę wymieniać tytułów, aby nie posądzono mnie o konkurencyjną zawiść.

— Co pan powie o materjale aktorskim?

— Wolałbym na ten temat nie dawać szerszej odpowiedzi. Mam jednak na tyle odwagi, że stwierdzę, iż materjał kobiecy jest bardzo słaby.

— Jakie horoskopy stawia pan na przyszłość?

— Bardzo smutne. O ile nie zostanie wprowadzony kontyngent, zginiemy wszyscy, i polski przemysł filmowy stanie się umarłą legendą. Ale pracujemy z wiarą w lepsze jutro, urabiamy ręce do łokci, aby tylko wytrwać i przetrwać. Bo można nam wiele pomóc i uzdrowić stosunki niewielkim nawet kosztem. Przyszłość bowiem filmu polskiego zależy w znacznej mierze od zrozumienia jego doniosłości przez... wszystkich...

CENNE PREMJA BEZPŁATNE

DLA PRENUMERATORÓW

tyg. „ŚWIAT"

„ŚWIAT" nabył od Instytutu Wyd. „Bibljoteka Polska" szereg cennych dzieł dla swych prenumeratorów.

Każdy z pierwszych dziesięciu prenumeratorów, którzy od 7 do 15 kwietnia wpłacą prenumeratę **zgóry za trzy kwartały,** t. j. do końca r. b., otrzyma **bezpłatnie** jako premjum, do wyboru:

1. **Wyspiański St.** — Dzieła, 8 tom.
2. **Sieroszewski W.** — Pisma, 10 tomów oprawn. w płótno.
3. **Sterling M.** — Album malar. P. Micha'owskiego.
   Moljer — Dzieła, 6 tom. w opr.
   Staff L. — Wszystkie utwory (17 tom. oprawnych).

Każdy następny prenumerator „Świata", który do 15 kwietnia r. b. wpłaci prenumeratę **zgóry za trzy kwartały,** t. j. do końca r.b., otrzyma **bezpłatnie** jako premjum do wyboru:

1. **Askenazy** — „Książę Józef Poniatowski".
   Moljer — Dzieła, 6 tom. opraw.
   Tetmajer — Poezje, 4 tomy.
   Kaden-Bandrowski — „Proch".
2. **Sterling M.**—Album malar. Piotra Michał wskiego.
3. **Byron** — „Don Juan".
   Staff — Wszystkie utwory (17 t.)
   Mierosławski — „Pamiętnik".

Każdy prenumerator, który wpłaci do 15 kwietnia r.b. prenumeratę **za pół roku zgóry,** albo opłaci pren. **za 1 kwartał zgóry** i zjedna „Światu" **3-ch nowych prenumeratorów**—otrzyma **bezpłatnie** jako premjum, do wyboru:

1. **Staff** — Wszystkie utwory (17 t.)
2. **Weyssenhoff** — „Noc i świt".
   Sieroszewski — „Beniowski i Ocean".
   Tetmajer—„Legendy Tatr" (2 t.)
   Ossendowski — „Syn Beliry".
   Boy — „Słówka".
   Kaden-Bandrowski — „Proch".
3. **Boy**—„Pijane dziecko we mgle".
   Boy — „Plotki, plotki".
   Boy — „Słówka".
   Dąbrowski — „Matki".
   Guranowski—„Droga do raju".
   Stendhal — „Pustelnia". (2 t.)
   Kaden-Bandrowski — „Proch".
   Makarczyk—Wyzwolony harem.
   Orkan — „Kostka Napierski".
   Ossendowski — „Syn Beliry".

Każdy prenumerator, który do 15 kwietnia r. b. wpłaci prunumeratę **za 1 kwartał** i zjedna nam **jednego nowego prenumeratora,** otrzyma **bezpłatnie** jako premjum do wyboru:

1. **Askenazy** — „Książę Józef Poniatowski".
   Boy—„Pijane dziecko we mgle".
   Stendhal—„Pustelnia" (2 t)
2. **Tetmajer**—„Legendy Tatr (2 t.)
   Weyssenhoff — „Noc i świt".
   Ossendowski — „Syn Beliry".
   Kaden-Bandrowski — „Proch".
   Orkan — „Kostka Napierski".
   Makarczyk—Wyzwolony harem.

Każdy prenumerator „Świata", który do 15 kwietnia r.b wpłaci prenumeratę **za kwiecień** i zjedna nam **jednego prenumeratora,** otrzyma **bezpłatnie** jako premjum do wyboru:

1. **Tetmajer**—„Legenda Tatr" (2 t.)
2. **Kaden-Bandrowski** — „Proch".
3. **Weyssenhoff** — „Noc i świt".
4. **Boy** — „Słówka".
   Makarczyk—Wyzwolony harem.
5. **Żuławski** — „Stara ziemia".
   Rittner — „Most".
6. **Weyssenhoff**—„Sprawa Dołęgi".
   Stendhal—„Pustelnia" (2 tomy.)

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Świata", WARSZAWA, SZPITALNA 12.
Prenumeratę można wpłacać do P.K.O. — Nr. 3755. Prenumeratę przyjmuje „Świat" telefonicznie 504-00.

CO NAM ZOSTAŁO ZE ŚWIĄT





Wspomnienie paru dni wypoczynku.

Lekki katzenjammer po szeregu ciężkich kieliszków.

W kredensie kilka lukrowanych serduszek z marcepanu. Zeschniętych... Z napisem: „Pamiętaj o mnie".

W korytarzu na bocznym stoliczku baranek z cukru, nadtłuczone jajko, pusta butelka po winie...

A w szufladzie biurka mocno uszczuplona książeczka P. K. O.

Wiadomo, święta kosztują. Jak każda przyjemność, trwają krótko. I jak za każdą przyjemność, trzeba za nie potem pokutować.

Na szczęście, idzie wiosna.

Precz z melancholją!

XVI zjazd artystów scen polskich

Dorocznym zwyczajem, w ostatnie trzy dni wielkiego tygodnia obradował w sali Teatru Małego zjazd Związku Artystów Scen Polskich, w którym wzięło udział około 40 delegatów prowincjonalnych.

Zjazd, któremu honorowo przewodniczył prezes ZASPu, Józef Śliwicki, organizacyjnie zaś Janusz Warnecki, zajmował się głównie skutkami moralnemi i finansowemi lekkomyślnej imprezy, jaką był teatr związkowy, a która zachwiała mocno podstawami organizacji. Ustępującemu zarządowi, a głównie jego prezesowi Józefowi Śliwickiemu, udało się zażegnać katastrofę i spłacić część długów, tak że istnieje nadzieja pomyślnego wybrnięcia z trudnej sytuacji.

Nowy Zarząd władz Związku przedstawia się następująco: prezes Śliwicki Józef (wybrany ponownie), członkowie: Freszel Franciszek, Janowski Maurycy, Karpiński Ziemowit, Bonecki Jan, Sulima Helena, Popowski Jan, Chmielewski Zygmunt, Wyrzykowski Marjan.

Skład innych władz pozostał bez zmian.

Na wniosek artystów teatru Polskiego i Małego postanowiono organizować zjazdy nie rok rocznie, lecz co 3 lata; następny więc odbędzie się dopiero w r. 1937.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Naprawa błędów

(L.) Od chwili, kiedy p. Barthou objął sprawy zagraniczne Francji, daje się zauważyć duch szczerego realizmu i aktywności, nie ograniczającej się do pięknych słów, wygłaszanych w Genewie.

Widoczną troską obecnego ministra spraw zagranicznych Francji jest wzmocnienie węzłów przyjaźni ze swymi aljantami. Wrażenie, jakie w wielu państwach, złączonych z Francją interesami i umowami, utrwalało się i rozpowszechniało, było dla polityki Paryża więcej niż ujemne. Wrażenie, że Francja nie ma woli bezwzględnej solidarności ze sprzymierzeńcami, unosiło się nad polityką rozmów francusko-niemieckich, czy też porozumiewań Paryża z Rzymem.

Rozmowy te Briand-inicjator potrafił ubrać w aureolkę interesu powszechnego pokoju, następcy jego z Paul-Boncourem na czele nie umieli tym rozmowom nadać wysokiego tonu. Zeszły one do poziomu sporu stron, zamierzających podpisać kontrakt, w którego wykonanie nikt nie wierzył.

Nic dziwnego, że w tych warunkach metoda rokowań Paryża budziła to tu to tam zrozumiałe niezadowolenie.

Barthou — realizm swój wykazał przedewszystkiem w zapytaniach skierowanych do Anglji. Jak pojmowane są *obecnie* z tamtej strony La Manche: bezpieczeństwo i gwarancje — interesowało specjalnie p. Barthou.

Drugą kwestją kapitalną dlań to była siła więzi Francji z: Belgją, Polską, Małą Ententą.

W tym zakresie bowiem ostatnie półtorarocze celowało w pracy osłabienia zaufania i autorytetu, jakiemi Francja cieszyła się.

Dokonane lub zapowiedziane podróże do: Brukseli, Warszawy, Pragi mają naprawić błędy poprzedników. Zresztą samopoczucie tych błędów było we Francji dość głębokie, dotychczas starano się je przemilczeć, dziś mówi się o nich z coraz mniejszem zacietrzewieniem, ale za to z coraz lepszem wniknięciem w sedno rzeczy i w rozumowanie drugiej strony.

Liczni publicyści francuscy dają tego dowód.

Ostatnio Raymond Recouly jasno i trzeźwo tak maluje stan rzeczy: „Podróże te — pisze Recouly — są nietylko pożyteczne ale niezbędne wprost, aby wzmocnić węzły przyjaźni z tymi, którzy w Europie pozostali przyjaciółmi, naturalnymi aljantami naszego kraju.

Większość tych aljantów czuła się zniechęcona — a było z czego — przez politykę stałego zaniedbania, która od zbyt dawna cechowała naszą dyplomację. Wówczas kiedy my sami zaczęliśmy poświęcać nasze interesy, nasze prawa, dlaczego mielibyśmy wymagać od innych, aby obciążali się za nas ich obroną?

Z chwilą jednak, gdy odkrywają oni, że Francja się prostuje, że podnosi głowę, instynktownie staną oni obok nas".

Uwagi francuskiego publicysty cechuje trzeźwość.

Polityka p. Barthou ma w sobie te cechy, które dzięki swej ciągłości i jasności precyzji przez lata całe zdobywały Francji powodzenie i sympatję.

Konferencja Rozbrojeniowa

(Ch.) Niewątpliwie są tacy, którzy wykrzykną ze zdumieniem: — co, jeszcze trwa, jeszcze żyje, ten „stół obrad", ustawiony nad Lemanem!

Tak jest, żyje i zapowiada na 10-ego kwietnia wznowienie obrad prezydjum konferencji. Przewodniczący Henderson nie zgodził się nawet na sugerowane mu opóźnienie tych narad do dnia 17-go kwietnia. Zapowiedziane te obrady poprzedziła żywa wymiana zdań między Paryżem a Londynem i wizyta p. Barthou w Brukselli.

Wizytę tę spowodowała głównie mowa, wygłoszona przez szefa rządu belgijskiego p. de Brocqueville, która wywołała zaniepokojenie w Paryżu.

Po tej wizycie i po rozmowach p. Barthou z belgijskim ministrem spraw zagranicznych Hymansem oficjalny komunikat głosił, iż „zbadali oni sytuację europejską. Stwierdzili swą zgodność na punkcie niebezpieczeństwa wywołanego dozbrajaniem się Niemiec. Wykazali wzajemne zaniepokojenie konsekwencjami, do których mógłby doprowadzić wyścig zbrojeń. Uznali za pożądane dla odwrócenia tych niebezpieczeństw zawarcie międzynarodowej konwencji, ustalającej poważne gwarancje jej wypełnienia".



Z drugiej strony raport dyplomatyczny ambasadora Francji w Londynie p. Corbin potwierdzał, że rozmowy francusko-angielskie, prowadzone na skutek angielskiego memorandum z 29 stycznia, dotyczyły przedewszystkiem zagadnienia bezpieczeństwa. Ale zagadnienie to ograniczyło się do żądania gwarancji wykonania konwencji.

A więc z tych rozmów: Londyn — Paryż — Bruksela zdaje się wyraźnie odsłaniać projekt akcji na konferencji genewskiej — dążenie do konwencji? Ale jakiej konwencji?!

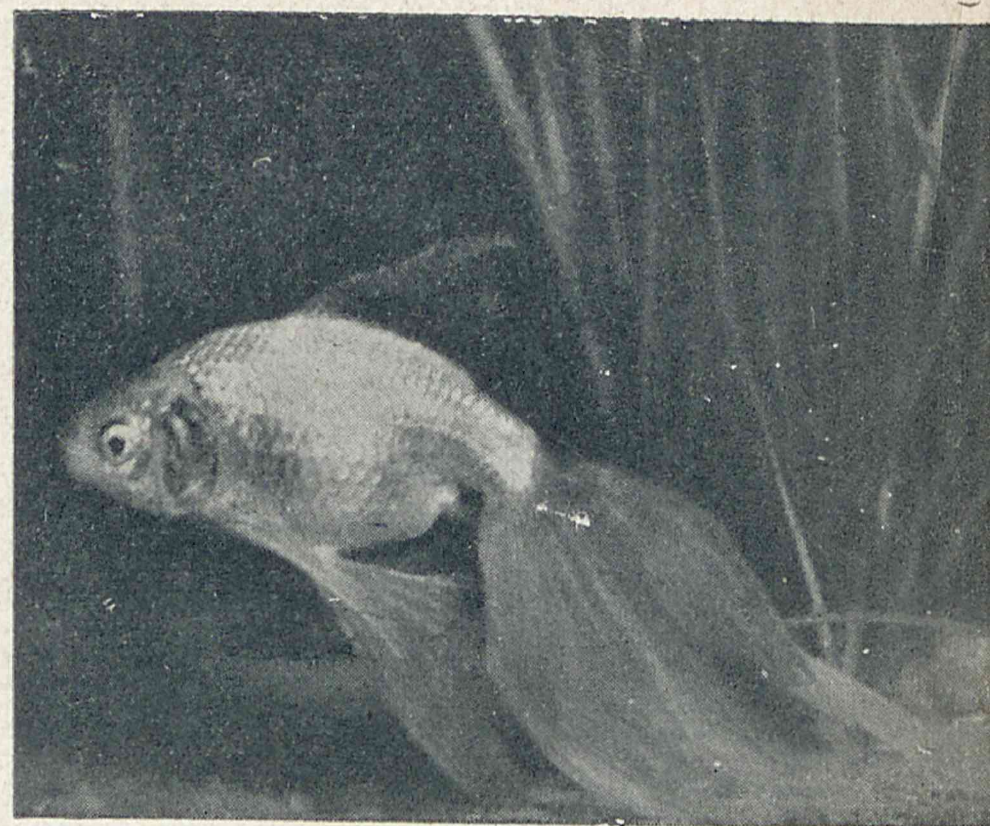
Z pertraktacji ostatnich wynika, iż według wszelkich danych Francja uzyskała od Anglji pewne gwarancje — mają być one jednak natury wyłącznie ekonomicznej. Ostre sankcje ekonomiczne, aż do blokady włącznie, zostałyby uzyskane, gdyby Niemcy nie stosowały się do projektowanej konwencji. Inna rzecz, czy to jest wystarczające? Blokada nawet podczas wojny była gwałcona!

Ze swej strony zaś Francja ustąpiła Belgji i właśnie weszła na drogę tej polityki „konwencjonalnej". Konwencja zamierzona w Genewie ma być rzekomym hamulcem zbrojeń!

Skala konwencji jest jednak bardzo rozległa i na ten temat Genewa może jeszcze obradować „wyczerpująco".

Obraz tych pertraktacji nie byłby pełny, gdybyśmy zapomnieli o Rzymie. Ambasador Francji w Rzymie, p. de Chambrun, przyjął reprezentantów prasy francuskiej i, mówiąc o linjach stycznych polityki Francji i Włoch, stwierdził, że celem głównym Francji jest zbliżenie się z Rzymem i utrzymanie swych sojuszy w Europie centralnej, przyczem stwierdził zupełną zgodność w polityce Francji i Włoch w stosunku do niepodległości Austrji. Ale tylko! Inne sprawy są w trakcie badania. Tu więc choć jest niewątpliwa dobra wola i poprawa intencji, tempo porozumienia jest jeszcze raczej powolne.

Mieszkańcy oceanów na Starem Mieście



W wązkiej uliczce Jezuickiej, łączącej Kanonję z Rynkiem Starego Miasta, wznosi się szary gmach, noszący ślady epoki Stanisławowskiej.

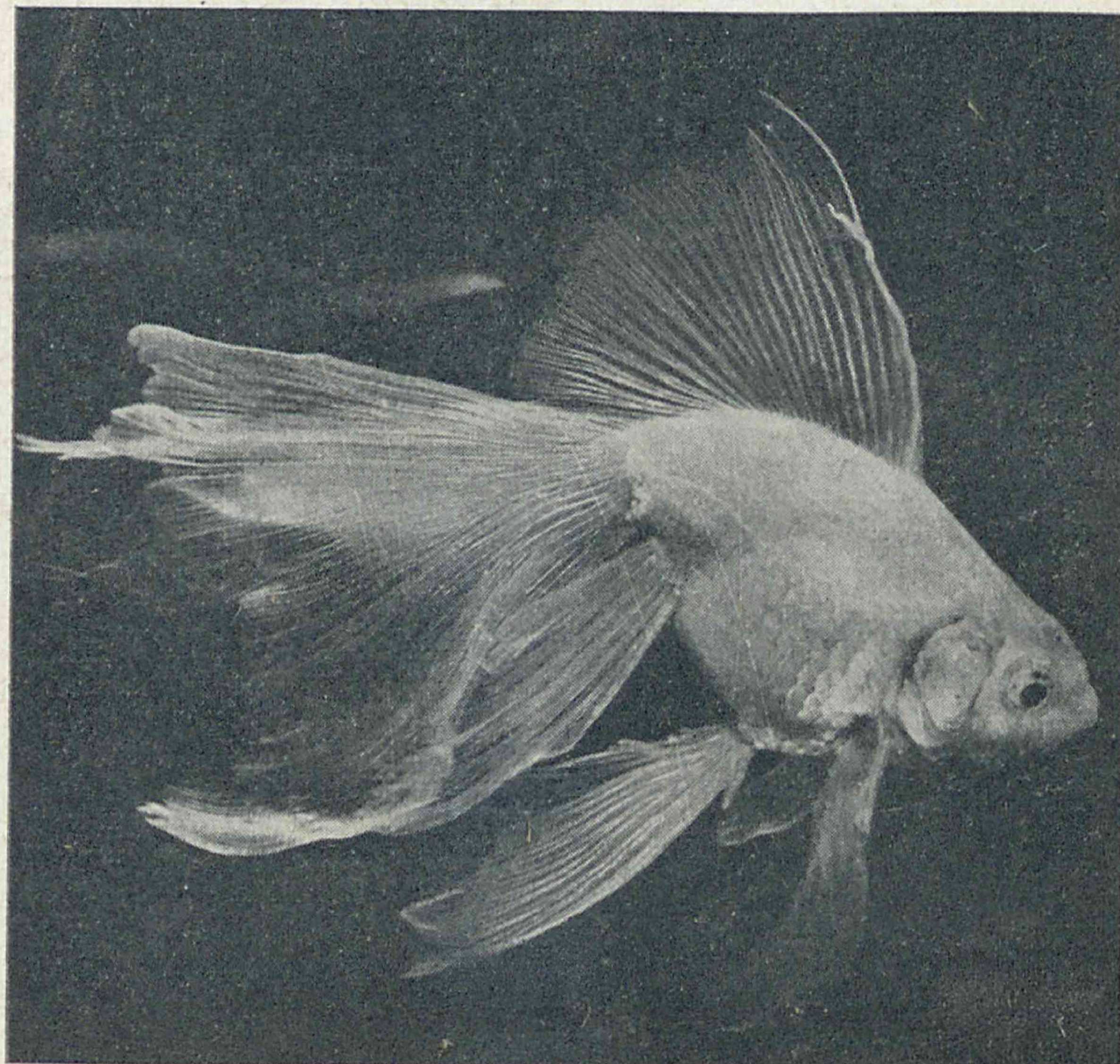
Gdy wybuchła wojna światowa gmach jakiś czas stał pustką, póki grono ludzi dobrej woli nie założyło w nim czegoś w rodzaju prywatnego muzeum, mającego służyć pomocą naukową młodzieży szkolnej. Po likwidacji Komitetu Obywatelskiego, na wniosek prof. Samuela Dicksteina, powołano do życia instytucję p. n. „Muzeum Pedagogicznego" i oddano ją pod opiekę Wydziału Oświaty i Kultury m. st. Warszawy.

Jakiż praktyczny cel ma to muzeum?

Prowadzenie pracowni fizycznej, chemicznej, biologicznej i innych dla nauczycieli i wszystkich niemal szkół, nie rozporządzających odpowiedniemi pracowniami we własnych gmachach. To też gwarno i rojno w muzeum od wczesnego ranka do wieczora. Codziennie, na godzinę, dwie, przybywa młodzież z własnym personelem nauczycielskim. Dość powiedzieć, że przez pracownie przewija się każdego dnia około 500 — 600 młodzieży obojga płci. Muzeum jest istnem dobrodziejstwem dla uczących się. Szkoły bowiem nasze nie mogły dotychczas jeszcze wyekwipować należycie swoich gabinetów i pracowni, a tu mają niemal wszystko, co jest potrzebne do praktycznego wyczerpania programu. Zbiory bowiem muzeum liczą w tej chwili 2796 eksponatów szkolnych przedstawiających niemałą wartość naukową. Pozatem istnieje bogata bibljoteka dla nauczycieli, złożona z 8903 tomów i świetnie zorganizowana bibljoteka oraz czytelnia dla uczącej się młodzieży. Tu znalazły też odpowiednie pomieszczenie słynne zbiory entomologiczne Izaaka, wymagające tylko należytego uporządkowania.

Podczas, gdy z licznych klas i pracowni dobiega zciszony gwar młodych głosów, wejdźmy do niewielkiej salki na pierwszem piętrze. Cicho tu i spokojnie. Wzdłuż ścian, oświetlone lampami elektrycznemi, stoją szklane skrzynie o zielonawo-szarawym odcieniu.

To akwarjum. Zawiązek przyszłego wielkiego królestwa mieszkańców wodnych całego świata, jakie kiedyś, na wzór Berlina, Monaco, czy Londynu, posiadać będzie Warszawa.



Pierwsze baseny poświęcono faunie krajowej. Karpie, węgorze, liny, karaski, przewijają się wśród koronkowej gęstwy wodorostów, uderzając co chwila jedwabistemi pyszczkami o szklane ściany. Dalej cała kolekcja złotych rybek, słynne welony japońskie o ogonach i pletwach jakby ze sjamskiego jedwabiu; komety, mieniące się pyszną, złoto-szkarłatną barwą i wreszcie aksamitne bronzowo-złotawe teleskopy, o wyłupiastych oczach, przypominających automobilowe reflektory.

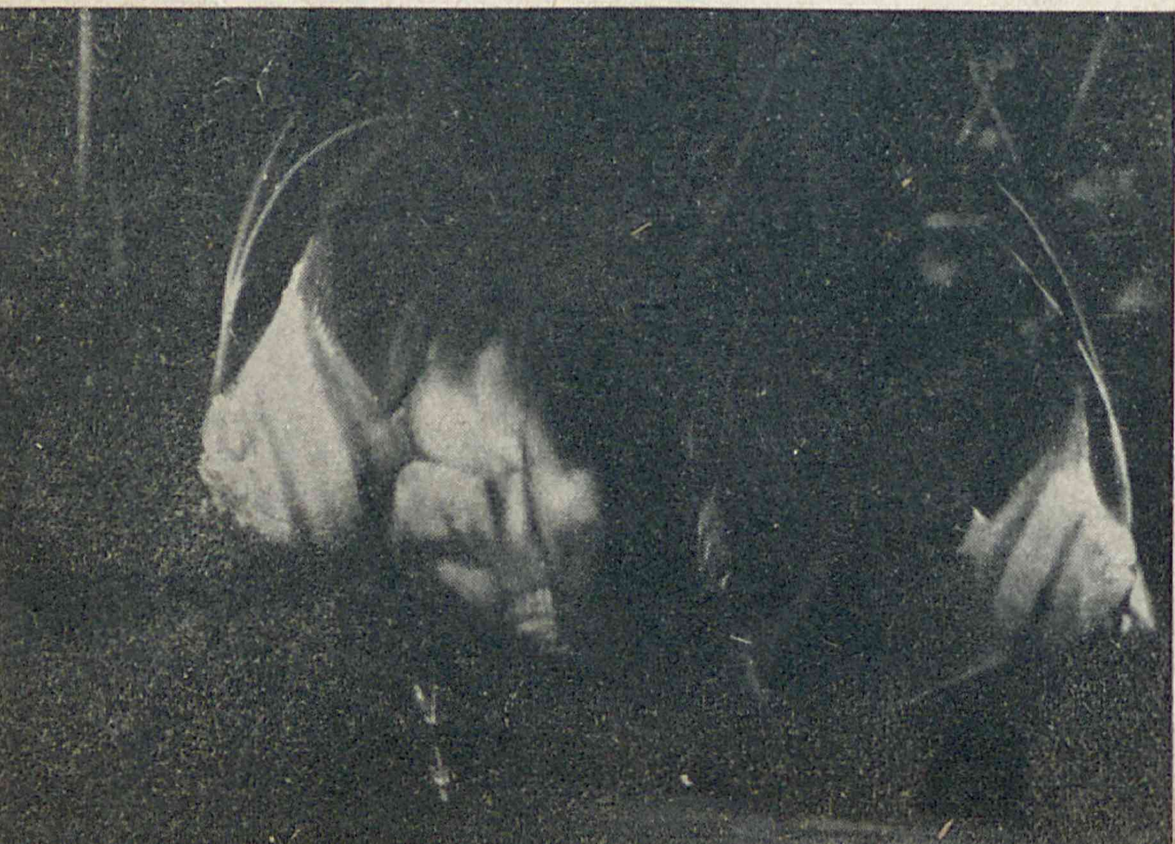
W innym znów basenie drobniutkie, ledwie widoczne a ruchliwe jak rtęć „gupiki", rybki żyworodne z Meksyku, i śliczne, seledynowo mieniące się o szablastych ogonkach mieczyki (Xipharhorus Helleri), które również przywędrowały na Stare Miasto z wód meksykańskich. Wreszcie różanki, składające ikrę do wnętrza małż.

Osobny dział stanowią płazy. Piękne salamandry meksykańskie, bardzo rzadki okaz „żółtopuzika" jugosłowiańskiego, będącego rodzajem jaszczurki ze szczątkowemi łapkami, piękny, o czarno-cynobrowej skórze, niejadowity „wąż lampartowy", żółwie i t. d. Inna grupa obejmuje ryby żaglowe z dorzecza Amazonki, ryby afrykańskie z turkusowemi gjówkami, ostrygi, „Brazylja Chanchito", ryjące doły w piasku w czasie tarcia, „bojowniki" ze Sjamu, budujące gniazda z piany i pokraczne, niby jakieś straszydła kraby.

Lecz najdziwniejsze królestwo w ostatnich basenach. Z szarych brył granitu wykwitają fantastyczne, o pokręconych płatkach chryzantemy. Zaczarowane kwiaty głębin morskich. To „ukwiały" czyli „róże morskie" i sertularje, należące do grupy jamochłonów, a długi czas uważane przez naukę za rośliny. Zbliża się pora karmienia. Kawałek martwej ryby spada na kwiat. Fantastyczne płatki rozchylają się nagle, niczem żarłoczna paszcza i chwytają kęsek. „Zjadanie" trwa 6 — 8 godzin. I tylko ten jeden ruch świadczy, iż „kwiat" nie jest kwiatem, lecz niebezpiecznym dla drobnych żyjątek wrogiem.

W maleńkiej salce Muzeum fragment dalekich, nieznanych wód z ich dziwnymi mieszkańcami. Mimowoli myśl wybiega za szare, brzydkie mury miasta, na wielkie i niezbadane oceany, w krainę raf koralowych i innych cudów, których wielu z nas prawdopodobnie nigdy nie ujrzy. Więc dobrze jest zajść czasami do muzeum, popatrzeć na szeregi szklanych skrzyń, nacieszyć oko dziwnością kształtów i barw i pomyśleć, że każda z tych istotek ma też swoje radości i troski, wesela i smutki i jest tworem wszechpotężnej Przyrody.

J. S. Wroczyński



KALENDARZYK WARSZAWY Z PRZED PÓŁ WIEKU

Kwiecień 1884 r.

NA UJAZDÓW!

„W pierwsze święto Wielkanocy od godziny 2-giej popołudniu na linji plac Zamkowy — Mokotów zarząd koleji konnej puścił w ruch 60 oddzielnych wagonów celem obsługiwania publiczności, spieszącej na plac Ujazdowski".

„IGRZYSKA UJAZDOWSKIE"

„Prostopadle do Alej rząd huśtawek i drugi równoległy szereg krytych i odkrytych karuzeli, na uboczu jeden młyn djabelski wzdłuż drogi widzianej do Łazienek, kilka bud restauracyjnych, vulgo piwiarni, pracownia wydająca fotogramy na poczekaniu, strzelnica, a w głębi przed Szpitalem „Pluton bożek ognia", teatr marjonetek, sztuki magiczne, menażerja.

Wszystko to samo, co w roku zeszłym, i zaprzeszłym i dawniejszych, to samo, co na najlichszych jarmarkach widywać można.

Mimo to, na Ujazdowie wczoraj i onegdaj było pełno, rojno i gwarno. Zabawy ludowe na Ujazdowie trwać mają przez 10 dni".

„WELOCYPEDYŚCI"

„Na bruku warszawskim ukazali się w ostatnich czasach liczni welocypedyści. Jest ich tylu, że zamierzają oni utworzyć klub specjalny".

JEDYNA BROŃ KOBIET... PARASOLKA

„W dniu wczorajszym, wieczorem koło godziny 9-tej dwóch szlifibruków zaczepiło jakąś panią, idącą przez ulicę Marszałkowską. Zaczepiona mimo energicznych z jej strony protestacji, przy których i jedyna broń kobiet parasolka była w użyciu, nie mogła się pozbyć natrętów...

Przypadek, jednak, zdarzył iż spotkała swego małżonka. Dopiero on przy pomocy bambusa, dębu, czy wiśni zmusił donżuanów do szybkiej zmiany frontu".

Ta interesująca wiadomość o „szlifibrukach" nosiła tytuł: „Donżuanizm".

„WYKROCHMALONE WIĘZIENIE"

„Młodzian, pragnący tej wiosny uchodzić za „ostatnie słowo mody", winien używać kołnierzy wysokich na 4 cale, zapiętych na kilka spinek. Wątpimy jednak, czy znajdą się dobrowolni męczennicy, przenoszący płócienne wykrochmalone więzienie nad wolność ruchów".



„GAZ, JAK ...BISMARCK"

„Wczoraj wieczorem zapalono dwie pierwsze latarnie elektryczne na ulicy Marszałkowskiej przy zbiegu z Chmielną i Złotą.

Rzucały na krzyżujące się ulice snopy właściwego sobie, prawie dziennego światła.

Światło latarni gazowych, żółte już z natury, jeszcze większej dostało żółtaczki. Kolor żółty jest barwą zazdrości.

Głębsi politycy mówili o gazie, iż nadchodzi nań pora usunięcia się z różnych urzędów za przykładem Bismarcka..."

„ACH, TE PORZĄDKI"

Oto wykrzyknik wychodzący z ust wszystkich nieomal śmiertelników zmuszonych odbywać piesze podróże. Służba, myjąca okna, nietylko iż stając na framugach okien naraża się na niebezpieczeństwo upadku, lecz nadto skrapia niewinnych przechodniów wodą do mycia okien używaną.

MATKA NEONÓW

„W dniu wczorajszym przy ulicy Przejazd oświetlono pierwszy raz jeden ze sklepów latarnią magiczną.

Refleks, padający na trotuar, zwabił tłumy ciekawej bezpłatnych wrażeń publiczności.

Wabikiem były, zapewne, szkła ruchome pierwszy raz w tego rodzaju reklamie stosowane".

JUŻ I PANNY MÓWIĄ PRZEZ TELEFON...

W jednej z gazet warszawskich znajdujemy następującą wiadomość p. t. „Oświadczyny przez telefon":

„Opowiadano nam, ręcząc za autentyczny fakt, iż pewien młodzian, odznaczający się nieśmiałością wobec pani swych myśli, oświadczył jej się ...przez telefon.

Znalazłszy się sam w kantorze, zatelefonował do państwa + +.

Pan + + wyraził głębokie zdziwienie naskutek żądania pana X, aby jego córka pofatygowała się do telefonu.

— Czegóż pan chcesz od mojej córki?

— Chcę ją zapytać, czy zgodzi się być moją żoną?

Po chwili panna + + przyłożyła telefon do małego uszka... Dziewczę słuchając rumieniło się, jak wiśnia. Nareszcie, powiedziało:

— No, dobrze, dobrze, tylko pan przyjdź zaraz.

Już i panny zaczynają u nas rozmawiać przez telefon!..."

(Kor. b.)

OKRĘT LATAJĄCY



W bardzo dawnej starożytności człowiek był tylko ziemnym robakiem. Gdy wziął na odwagę i zbudował wielkie łodzie, stał się amfibją ziemno-wodną, powiększając swoje domeny trzykrotnie, bo posiadł nie tylko całą ziemię, ale i oceany. Od niedawnego czasu stał się łabędziem, bo zarówno swobodnie żyć może pod obłokami, na wodzie i na lądzie.

Umysły lotne stworzyły koncepcję samolotu, umysły ciężkie miały bardzo zdawna idee balonowe.

Z tych drugich zrodził się potwór, zwany Zeppelinem.

Nie wszystkie potwory jednak są odstraszające. Bywają wielce atrakcyjne i jeszcze bardziej — pożyteczne. Są w każdym razie imponujące.

Statek powietrzny rozwiązał kwestję regularnej komunikacji Europy z Ameryką, niezależnie od oceanu i znacznie szybciej od najszybszych superlewjatanów.

Dziesiątki lat doświadczeń doprowadziły do tego, że obecnie istnieje stała, według rozkładu, linja pasażerska powietrzna z Niemiec do Ameryki Południowej. Podróż trwa zaledwie kilka dni, gdy okręt idzie tą samą drogą 3 tygodnie. Niedawno Zeppelin zakończył szczęśliwie swoją 50-ą podróż.

Pierwszym statkiem powietrznym tego typu, który przebył Atlantyk, był jednak nie niemiecki, lecz angielski. Nazywał się R. 34 i odbył tę podróż w roku 1919-ym.

Gdy hr. Zeppelin, twórca tych olbrzymów, umarł, pracę jego prowadził dr. Eckener. Niemcy, w myśl traktatu Berlińskiego, po ukończeniu wojny z Ameryką, musiały jej ustąpić swój okręt napowietrzny na rachunek reparacji. Dr. Eckener powołał naród niemiecki do składek i zbudował wkrótce nowy olbrzym w warsztatach Friedrichshaven nad jeziorem Konstanckiem, który kursuje obecnie.



Pierwszą podróż do Ameryki Północnej trwała 111 godzin, a powrotna 71 godzin. Załogę stanowiło czterdziestu ludzi, pasażerów zabrano dwudziestu.

Znaną jest historja tego Zeppelina. W roku 1929-ym obleciał on cały świat w 20 dni i 4 godziny. W roku 1931-ym odwiedził on biegun północny. Od tego czasu kursuje regularnie z Niemiec do Brazylji i Argentyny.



Piszący te słowa zwiedzał w Ameryce identyczny statek napowietrzny angielski R. 100. Wspaniały ten wehikuł robi wrażenie imponujące. Zdaje się, jakgdyby okręt ogromny wzniósł się z fal oceanu w przestworza.

Portem takiego statku jest olbrzymia wieża, do której wierzchołka statek zostaje przymocowany, a pasażerowie i załoga wjeżdżają windą na wieżę i po pomoście dostają się do kabiny. Mieszkają też na Zeppelinie, jak na zwykłym okręcie, z tą tylko różnicą, że o ile statek jest hotelem olbrzymem, o tyle Zeppelin posiada hotelik miniaturowy. Jednak żyje się w nim najzupełniej wygodnie, doskonale się je i pije, a nawet pali obecnie, gdy na pierwszych Zeppelinach palenie było najsurowiej wzbronione. Jest tu pokładzik dla spaceru, pozatem gra się w brydża i ogląda takie pejzaże, jakich człowiek przyziemny nie widział nawet w wyobraźni.

W tej chwili jeszcze podróż Zeppelinem jest bardzo droga, wypada bowiem około 500 dolarów za dobę. Ale przyjdzie pewno niedługo taki czas, że będziemy na week-end wyjeżdżali Zeppelinem w nieznane.

Defraudacja

Ostatni tego dnia klient opuścił kancelarję mecenasa Procedurskiego. Adwokat otworzył prawą szufladę biurka, do której wrzucił pozostawiony przez klienta banknot 50-złotowy, poczem zamknął szufladę boczną, a ze środkowej wyjął notatnik, do którego skrupulatnie wpisał imię i nazwisko klienta oraz otrzymaną zaliczkę.

Przysunął lampę biurkową i, wziąwszy ołówek do ręki, zaczął sumować kolumny cyfr w notatniku.

Po kwadransie sumowanie było skończone. Adwokat wstał, otworzył drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju, i rzekł:

— Panie Aleksandrze, niech pan pozwoli.

Do pokoju wszedł młody, 30-letni człowiek, będący dependentem i zastępcą pana mecenasa w sprawach mniejszej wagi.

Pan mecenas zajął miejsce za biurkiem, a jego młodszy kolega siadł na krześle, stojącem przed biurkiem.

— Panie Aleksandrze, panie kolego — poprawił się mecenas — zna mię pan i wie pan, jak dokładny jestem w sprawach pieniężnych, tymczasem przekonywam się, że w mojej kancelarji, w naszej kancelarji, nie wszystko jest w porządku. Proszę mnie spokojnie do końca wysłuchać, nie przerywać mi i przedwcześnie nie denerwować się i nie unosić się. Przyrzeka mi pan, panie kolego?

— Przyrzekam, chociaż nic z tego nie mogę zrozumieć.

— A zatem niech pan posłucha. Przed kilkoma miesiącami złożyłem do urzędu skarbowego zeznanie o dochodzie w ciągu ubiegłego roku. Wie pan, że każdy grosz zapisuję i że w tych sprawach, jak i wszystkich innych, jestem jednym z tych, których ludzie popularnie nazywają porządnickim.

— Wiem o tem.

— Doskonale. Otóż w złożonem zeznaniu napisałem, że mój dochód w roku ubiegłym wynosił 18.775 złotych. Przed chwilą liczbę tę jeszcze raz sprawdziłem, czy nie było pomyłki w sumowaniu. Pomyłki nie znalazłem i suma 18.775 jest — jak to powiadają — murowana.

— Tymczasem — proszę pana, niech pan przeczyta — tu mecenas doręczył panu Aleksandrowi wezwanie urzędu skarbowego — urząd stwierdza, że mój dochód w roku ubiegłym wynosił nie 18.775 zł, lecz 39.910, t. j. przeszło dwa razy tyle.

Mecenas poprawił się na fotelu i po krótkiej pauzie ciągnął dalej.

— Nie mogę ani przez chwilę przypuszczać, by tak poważna instytucja, jak urząd skarbowy, brała cyfry z powietrza lub wysysała je z palca. Nie posądzam także urzędu o to, by miał ustalać mój dochód na chybił-trafił, na mniej-więcej, bo skądby się wzięła kwota 39.910 zł.? Gdyby urząd ustalił mój dochód w przybliżeniu, mielibyśmy kwotę 39.000 lub 40.000, ale nigdy 39.910. Mam rację?

— Oczywiście.

— No widzi pan, sam pan przyznaje. A teraz niech pan uważnie słucha. Uważnie i spokojnie. Ponieważ ja więcej z mojej kancelarji nie otrzymałem, niż 18.775 zł., a urząd skarbowy czarne na białem stwierdza, że dochód mojej kancelarji wynosił 39.910, przeto różnicę w kwocie zł. 21.135 ktoś zdefraudował. Zdefraudować zaś mógł tylko pan.

— Panie mecenasie! — wskoczył pan Aleksander cały w ogniach — ja...

— Spokojnie, spokojnie, nie skończyłem jeszcze... Otóż zredagowałem skargę na pana do prokuratora. Skargi wszakże jeszcze nie posyłam, natomiast odpis skargi przesyłam do urzędu skarbowego z prośbą, iżby pan naczelnik urzędu zechciał stanąć w sądzie w charakterze świadka oskarżenia. Pojmuje mnie pan?

— Pojmuję.

Pan Aleksander parsknął śmiechem.

— No i zgadza się pan?

— Ależ naturalnie.

Nazajutrz odpis skargi do prokuratora wraz z listem powędrował do urzędu skarbowego. W liście mecenas Procedurski dziękuje urzędowi skarbowemu za wykrycie defraudacji w jego kancelarji i usilnie prosi, aby pan naczelnik urzędu sam lub przez wydelegowanego urzędnika zechciał w sądzie poprzeć jego skargę przeciw zastępcy o zwrot zdefraudowanych 21.135 zł.

Po dziesięciu dniach adwokat Procedurski otrzymał z urzędu skarbowego odpowiedź. O gotowości świadczenia w sądzie lub niegotowości ani słówkiem nie było wspomniane, natomiast urząd skarbowy zawiadamiał, iż w wymiarze podatku dochodowego zaszła pomyłka, gdyż zamiast sumy 18.775 zł. za podstawę pomyłkowo wzięto kwotę 39.910.

A o to tylko chodziło.

Termidor.

Ś. p. Feliks Korwin-Szymanowski

W zeszłym tygodniu pochowano na cmentarzu Powązkowskim zwłoki ś. p. Feliksa Korwin-Szymanowskiego, pianisty i kompozytora, brata Karola i Stanisławy Szymanowskiej.

Ś. p. Feliks Korwin-Szymanowski był pogodny i zrównoważony, chociaż życie po wojnie światowej mocno mu się dało we znaki. Ostatnie lata były dlań coraz cięższe, bo wzmagająca się stale choroba uniemożliwiła mu spełnianie swej pracy pianistycznej.



Ś. p. Feliks Korwin-Szymanowski

Zmarły uprawiał muzykę od dzieciństwa. Uczył się gry fortepianowej w Szkole muzycznej w Elizawetgradzie (gdzie ukończył gimnazjum), dalej — w Warszawie, u prof. Michałowskiego, u L. Godowskiego, w Lipsku. Urodził się w r. 1881-ym na Ukrainie, w rodzinnym majątku, Tymoszówce.

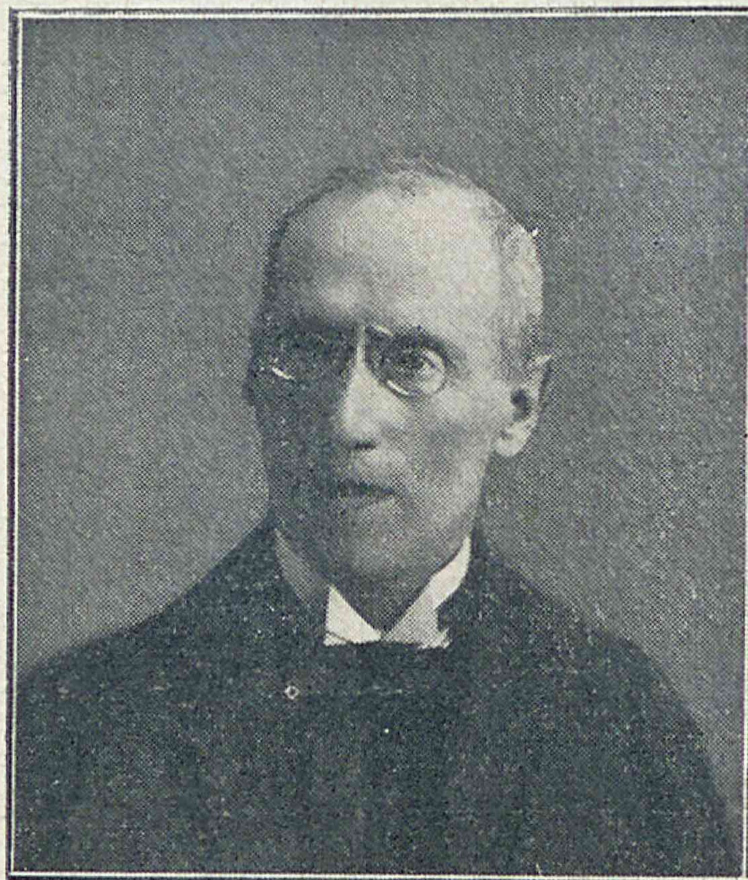
W tece kompozytorskiej pozostawił sporo pieśni i utworów fortepianowych.

Ze śmiercią Feliksa Korwin-Szymanowskiego ubył z naszego świata artystycznego zdolny muzyk, szczerze kochający swoją sztukę, towarzysz miły, człowiek skromny, ogólnie lubiany. *(L. B.)*

Zgon prof. Henryka Biegeleisena

W pierwszy dzień świąt Wielkiejnocy zmarł we Lwowie znakomity historyk literatury polskiej i folklorysta, prof. Henryk Biegeleisen, przeżywszy lat 78.

Henryk Biegeleisen, syn doktora medycyny, a zarazem uczestnika powstania 1863 r., urodził się w Tłustem nad Zbruczem i po ukończeniu wydziału filozoficznego na uniwersytecie lwowskim, wyjechał na dalsze studja zagranicę.



Dr. Henryk Biegeleisen

Pierwszą jego pracą, ogłoszoną w r. 1884, było obszerne studjum „Pan Tadeusz", po którem nastąpiły monografje Ujejskiego, Lenartowicza i innych. Opracował też pierwsze zbiorowe wydania Fredry, Mickiewicza, Słowackiego i w. i.

W ostatniem dziesięcioleciu życia prof. Biegeleisen zajął się niemal wyłącznie studjami etnograficznemi, wzbogacając naszą literaturę naukową szeregiem cennych dzieł, jak „Matka i dziecko", „Wesele", „U kolebki, przed ołtarzem, nad mogiłą", „Lecznictwo ludu polskiego" oraz „Śmierć".

Nauka polska traci ze śmiercią prof. Biegeleisena jednego ze swoich najzasłużeńszych i najwybitniejszych przedstawicieli.

Ś. p. Stanisław Maciejowski

Dn. 27 marca r. b., zgasł człowiek wielkiego serca i wielkich zasług — ś. p. Stanisław Maciejowski. Urodzony w Dobrach Wilanowskich w 1874 r., poświęcił się po ukończeniu studjów farmaceutycznych na Uniw. Warsz., pracy zawodowej, jednocześnie zaś rozpoczął pełną entuzjazmu oraz szlachetnej wytrwałości pracę organizacyjno-społeczną. Dzięki swym niezwykłym walorom, osiągnął wysoce zaszczytne stanowisko Prezesa i Członka honorowego tak potężnej instytucji, jak Polskie Powszechne Tow. Farm.. był również Prezesem Warsz. T-wa Farm., Prezesem Zarz. Tow. Ubezp. Farmaków i pierwszym Prezesem Zarz. Ban. Sp. Apt.



Ś. p. Stanisław Maciejowski

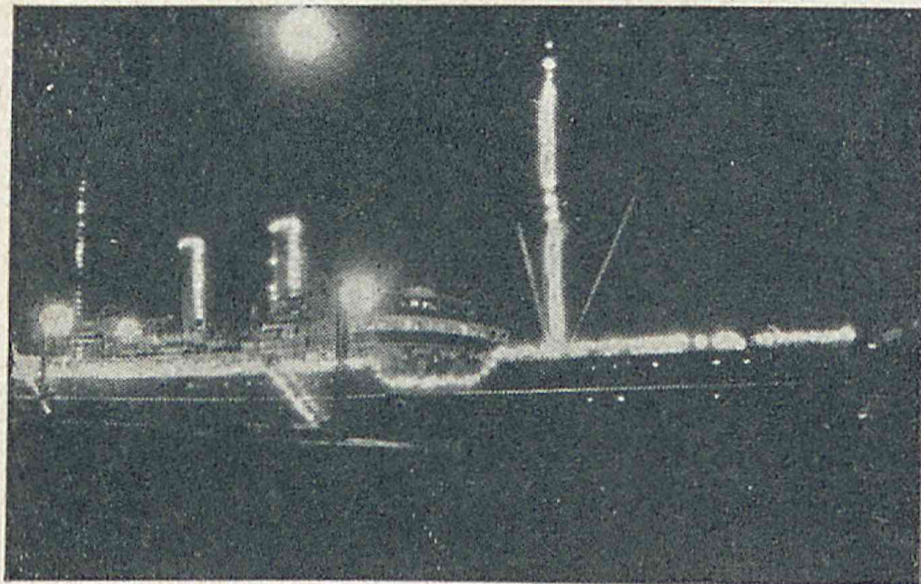
Pracował, zaiste, nad siły, bo pracował umysłem, wolą i sercem. Może dlatego właśnie ofiarne i szlachetne serce przedwcześnie bić przestało!

Cześć Jego świetlanej pamięci!

Z ostatniej chwili

W czasie świąt Wielkiejnocy zmarł w Warszawie po dłuższej chorobie zasłużony i wybitny działacz niepodległościowy i publicysta, Adam Skwarczyński, b. redaktor pisma „Rząd i wojsko", dożywotni członek Zarządu Głównego Zw. Peowiaków.

W jednym z najbliższych numerów „Świata", zamieścimy obszerniejsze wspomnienie o działalności i zasługach przedwcześnie zmarłego działacza.



„Polonja" w nocy

W krainie baśni i słońca

Któż z nas nie marzył, aby choć raz w życiu zobaczyć Wschód, tę krainę baśni i słońca, słynącą z pięknych kobiet, wspaniałych ogrodów, arcydzieł sztuki i przepychu, który stał się już nawet przysłowiowym. Wysmukłe wieże minaretów, wspaniałe wnętrza meczetów i różnorodna roślinność wabią ku sobie turystów z całego świata. Jednych ciągnie Wschód, jako kolebka kultury, innych jako miejsce męczeństwa i śmierci Chrystusa Pana, innych wreszcie pociągają zalane słońcem wąskie i kręte uliczki miast wschodnich, pełne jakiegoś tajemniczego uroku, lub złocące się gaje pomarańczowe i cytrynowe.

Jednem słowem poznać Wschód pragnie chyba każdy człowiek w Polsce. Do niedawna jednak odbycie wycieczki w te strony połączone było z wielkiemi niewygodami i kosztami, wobec braku bezpośrednich połączeń. Obecnie, dzięki uruchomieniu przez Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe „Gdynia — Ameryka" nowej Linji Polsko-Palestyńskiej, wycieczki na Wschód nie będą się niczem różniły pod względem fatygi, od popularnych już wycieczek do krajów skandynawskich, Anglji, Holandji itp.

Wygodne, komfortowo urządzone statki, przewozić będą pasażerów polskich z portu w Constanzy do Jaffy, zawijając po drodze do Konstantynopola, Haiffy i Pireusa. Do Constanzy zaś kursować będą z Polski bezpośrednie, specjalne pociągi pospieszne. Polska obsługa statków, polska kuchnia, oraz wyjątkowo serdeczny i wesoły nastrój towarzyski, panujący na wszystkich wycieczkach morskich Linji Gdynia — Ameryka, gwarantują podróżom na Wschód dużą popularność w naszem społeczeństwie.

Chór Juranda w Kawiarni Braci Jabłkowskich



Popularna w najlepszych sferach towarzyskich kawiarnia w gmachu Br. Jabłkowskich, od pewnego czasu urządza od godz. 5 do 7 popoł. „podwieczorki artystyczne" o urozmaiconym programie wokalno-muzycznym, w wykonaniu znanych artystów.

Ostatnio prawdziwą atrakcją podwieczorków są występy znakomitego chóru Juranda, znanego dobrze publiczności warszawskiej i cieszącego się zasłużonem powodzeniem. Nic też dziwnego, że podczas występów chóru Juranda, nie można znaleźć wolnego stolika, gdyż publiczność przybywa tłumnie na podwieczorki, odznaczające się doborowym programem i normalnemi, dostępnemi dla wszystkich cenami konsumpcji.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od Redakcji

Gospodarnej. Setki lat składały się na tradycję świątecznych porządków i przygotowań. Ponieważ nie da się tego uniknąć, pozostaje otwartą kwestja należytego zabezpieczenia cery i rąk przed zniszczeniem. Zwłaszcza ręce psują się bardzo, gdyż co chwila myć je potrzeba. Po każdem umyciu w wilgotne jeszcze ręce należy wcierać galaretkę Glicerijell, dla udelikatnienia skóry rąk i zabezpieczenia od pierzchnięcia.

W wypadkach nadmiernie szorstkiej, popękanej, suchej skóry, należy stosować kremy tłuste, zawierające lanolinę t. j. *Krem ziołowy* lub *Krem Lanola* marki Antiba. Po dokładnem wtarciu kremu, ręce zanurza się na chwilę w ciepłym odwarze z otrąbek migdałowych lub w ciepłem mleku i wyciera do sucha, następnie można je przypudrować czystą mączką ryżową.

Pani Zofji L. z Konina. Specjalnych zasad perfumowania się niema, a rodzaj perfum dobierać należy indywidualnie, stale stosując ten sam zapach. Należy pamiętać, że osoba zbytnio naperfumowana razi. Dla odświeżenia twarzy, nacierania ciała lub skropienia pościeli nadaje się najbardziej czysta woda kolońska np. marki Antiba.

P. Zygmuntowi B. ze Lwowa. Przy pańskiej bujnej czuprynie, odpowiednie ułożenie włosów będzie prawdziwą przyjemnością dla oczu innych osób. Potrzebne jest panu stosowanie preparatu natłuszczającego, lecz tylko pierwszorzędnej jakości. Z brylantyn, jakiemi zalany jest nasz rynek, korzystnie wyróżnia się brylantyna „Antiba" ulubiona przez znawców i delikatnie perfumowana, radzimy więc Panu ją stale używać.

III-cia sesja Międzynarodowej Rady Łowieckiej

Od 18 do 21 bm. odbędą się w Warszawie obrady III-ej sesji Międzynarodowej Rady Łowieckiej, grupującej w swoich szeregach przeszło 50 państw.

W obradach warszawskich sesji (dwie poprzednie odbyły się w Paryżu) weźmie udział 61 delegatów, reprezentujących 16-cie państw.

Celem Rady jest nawiązywanie stosunków między myśliwymi wszystkich krajów, obrona interesów łowiectwa, oraz popieranie jego rozwoju. Dzięki kontaktowi ze wszystkiemi niemal państwami, Rada ma możność zwracania uwagi rządów na zagadnienia łowiectwa, ochrony zwierzyny, tworzenia rezerwatów i t. p.

Z okazji obrad sesji w Warszawie w dniu 14 b. m. otwarty zostanie w gmachu kasyna garnizonowego w Al. Szucha pokaz trofeów łowieckich, urządzony przez Pol. Zw. Stowarzyszeń Łowieckich, na którym obok zdobyczy od jesieni roku 1932 wystawione będą wyjątkowe okazy z lat poprzednich.

Organizacją zjazdu w Warszawie zajmuje się specjalny komitet, powołany przez Pol. Zw. Stowarzyszeń Łowieckich.

Turniej brydżowy o mistrzostwo Warszawy

W dniu 10 kwietnia b. r. o godz. 19-ej w Salonie Brydżowym przy ul. Jasnej 17 zostanie rozegrany z inicjatywy Miesięcznika „Bridge", Turniej Brydżowy parami o Mistrzostwo Warszawy na rok 1934. Komitet Organizacyjny Turnieju w składzie: Przewodniczący Włodz. ks. Czetwertyński, Sekretarz Generalny red. B. S. Stefanowski, Członkowie: dyr. dr. Edwin Citron, inż. St. Dłuski, inż. M. Gielniewski, p. E. Grzybowski, p. Z. Hoffmanowa, p. O. Koch, dyr. inż. E. Miller, inż. W. Szulc i prez. J. Żelkowski opracował i zatwierdził Regulamin Turnieju, oraz zaprosił szereg osób ze świata towarzyskiego i klubowego do Jury, którego skład zostanie niebawem podany do ogólnej wiadomości. Turniej Brydżowy o Mistrzostwo Warszawy, który jest pierwszą tego typu imprezą zorganizowaną według międzynarodowych wzorów, wzbudził zrozumiałe zainteresowanie wśród najszerszych kół brydżystów, którzy pragną zmierzyć swoje siły w szrankach Turnieju. Zapisy uczestniczących par są przyjmowane codziennie do dnia 8 kwietnia w Salonie Brydżowym przy ul. Jasnej 17 (od godz. 20). Wszelkich informacyj w sprawach z Turniejem związanych udziela Kierownictwo Turnieju, ul. Św. Barbary 12, tel. 9-16-81, Redakcja Miesięcznika „Bridge".

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, 1/2 300, 1/4 150.—, 1/8 75
„ III „ 450.—, 1/2 225, 1/4 112.50
„ IV „ 600.—, 1/2 300,
Za tekstem . . . . . Zł. 600, 1/2 300.—, 1/4 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 32 (322) Zadanie kolumnowe

Ułożyła Klementyna Hyc.

(Za rozwiązanie 5 punktów)

1		□		□	
2		□		□	
3		□		□	
4		□		□	
5		□		□	
6		□		□	
7		□		□	
8		□		□	
9		□		□	
10		□		□	
11		□		□	
12		□		□	
13		□		□	
14		□		□	
15		□		□	
16		□		□	
17		□		□	
18		□		□	
19		□		□	
20		□		□	

W daną figurę należy wpisać 20 pięcioliterowych wyrazów poziomych o podanem znaczeniu. Kolumny pionowe: druga i czwarta — dadzą rozwiązanie.

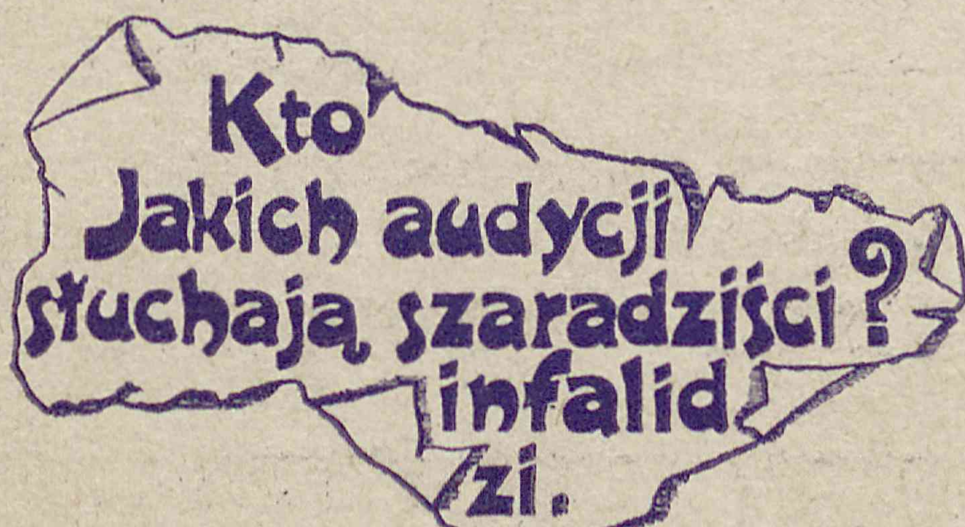
ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Upał. 2. Najjadowitszy wąż. 3. Sól kwasu octowego. 4. Cichy śmiech. 5. Odnoga rzeki, oddzielona kępami od głównego koryta i znów później łącząca się z niem. 6. Miasto w Mandżurji nad Amurem. 7. Gad jadowity. 8. Imię męskie. 9. Liryk polski z ubiegłego wieku. 10. Djabły. 11. Silne dmuchanie. 12. Inaczej „ujmę cię". 13. Imię żeńskie. 14. Zasłona od światła w kształcie parawanu o jednem skrzydle. 15. Zwierzęta ssące, z rodziny kotów. 16. Kielichy. 17. Najznakomitszy historyk rzymski (54—117). 18. Wciąganie powietrza w płuca (wspak). 19. Część składowa naboju, lub papierosa. 20. Piszczałka, używana do wabienia ptaków.

№ 33 (323) REBUS

Ułożył Jan Stratilato

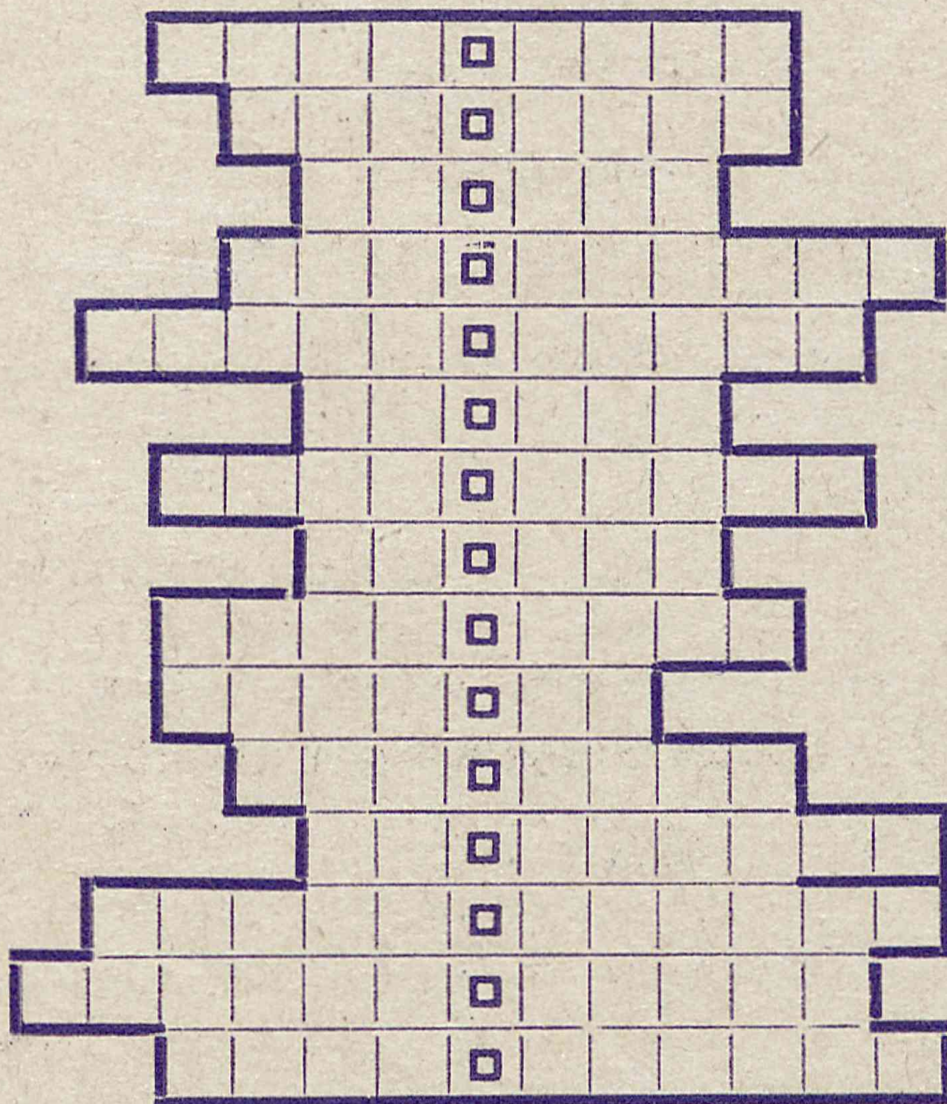
(Za rozwiązanie 10 punktów)



№ 34 (324) Logogryf plastyczny

Ułożył Zenon Brenek

(Za rozwiązanie 10 punktów)



W podaną figurę wpisać 15 nazwisk najwybitniejszych plastyków polskich. Środkowy rząd da rozwiązanie.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ

№ 12 (302) ŁAMIGŁÓWKA.

1. Gwizd. 2. Skwar. 3. Garść. 4. Krowa. 5. Snopy. 6. Parol. 7. Zwaśń. 8. Manco. 9. Albin. 10. Bebek. 11. Ściga. 12. Bigos. 13. Wągry. 14. Ogezc. 15. Włóka. 16. Cekin. 17. Ibsen. 18. Radża. 19. Elear. 20. Tesla. 21. Zalew. — „W KARNAWALE CIĄGLE BALE, A ZAŚ W POŚCIE GORZKIE ŻALE.—"

№ 13 (303) PRZESTAWIANKA KARNAWAŁOWA.

1. Baletnik. 2. Balustrada. 3. Kaliber. 4. Szambelan. 5. Blaszanka. 6. Bolesław. 7. Belladona. 8. Belkozwał. — „KARNAWAŁ".

№ 14 (304) ELIMINATKA.

1. Środa. 2. Popiel. 3. Tuczyn. 4. Szton. 5. Sztywny. 6. Tusza. — „ŚRODA POPIELCOWA" (KLUCZ: TUSZYN).

№ 15 (304) METAMORFOZA.

POKORNE CIELĘ DWIE MATKI SSIE.

TRAFNE ROZWIĄZANIA ZADAŃ
№ 12 — 15

(ŁĄCZNA ILOŚĆ 18 PUNKTÓW)
NADESŁALI:

N. K. Kozłowski. Włodz. Hoffmann. Fr. Wiśniewski. Dorota Herbstmanówna. L. Glaszmidt. Stefan Dobrzyński. Romuald Żak. Feliks Kowalski. Z. Tietz. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Zenon Brenek. Antonia Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków). Jan Popławki. Zofja Suchecka (Radom). Wład. Stock (Pińsk). Józef Małecki. Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz). Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Tadeusz Pomianowski.

ROZWIĄZANIA POSZCZEGÓLNYCH ZADAŃ:

Józefa Wolińska (12, 14). Marja Strubel (12, 13, 14). Kazimierz Lilpop (13, 14, 15). Wiktor Rawicz (13, 15). Feliks Siedlecki (Poznań) (12, 13, 14). Cecylja Lewandowska (13, 14, 15).

NAGRODY OTRZYMALI:

Ksawery Faliński (Warszawa) — książkę. Dorota Herbstmanówna (Warszawa) — książkę.

Anegdoty teatralne

Do mieszkania Władysława Żeleńskiego, ojca Tadeusza Boya — przyszedł śpiewak, który zaanonsował się jako baryton.

— Pragnę zasięgnąć opinji mistrza o moim głosie — powiedział do muzyka, który badawczo z pod okularów obserwował potężne bary atletycznego śpiewaka.

Żeleński sam usiadł do fortepianu, zaakompanjował coś z nut, przyniesionych przez barytona, a po pierwszej prześpiewanej zwrotce, poklepał śpiewaka po barkach i powiedział:

— *„Bary"* to są, ale *„tonu"* niema.

*

Za kulisami teatru jedna ze śpiewaczek operetkowych pyta Rufina Morozowicza, który był znany ze swych złośliwych powiedzonek:

— A ty, Rufciu, ile przypuszczasz że ja mam lat?

— Znacznie więcej — odpowiedział na to zapytany.

*

Na plantach krakowskich spotkało się dwóch jegomościów i skierowało swe kroki ku Hawełce. Po drodze jeden pyta drugiego:

— Czy radca wybiera się na „Wesele" Wyspiańskiego?

— Nie znam faceta, nie dostałem nawet zawiadomienia i mam iść na jego wesele! Nawet w kościele nie będę!

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13,50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P